

Kazimierz Orłoś

Letnik z Mierzei



Spisałem tę opowieść z luźnych notatek, z kartek wyrwanych z zeszytu, ze słów na bibułkach wyniesionych z restauracji „Fregata”. Nawet ze skrawków gazet. Zacząłem pisać w listopadzie - skończyłem w grudniu 2003 roku. Uporządkowałem wszystko. Trochę dodałem - trochę ująłem. Ułożyłem dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Tak, aby adresat - po mojej śmierci - otrzymał tekst przejrzysty. Prosty (choć sama historia prostą, oczywiście, nie jest).

Oto maszynopis przeznaczony dla syna.

*

Jacku, posłuchaj: ta sprawa wróciła do mnie po upływie pół wieku. Przed naszą przeprowadzką z Rakowieckiej. W pudle, które przyniosłeś z piwnicy, znalazłem stare listy. Najstarsze z lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Niektóre pisane zaraz po wojnie. Bracia mojej matki pisali z Londynu, wuj Ksawery z Republiki Południowej Afryki, wuj Jędrzek z Wenezueli. Brat ojca, stryj Jerzy, był w Kenii. Losy tych wszystkich ludzi, których wojna rozrzuciła po świecie, znasz zapewne z opowiadań babki Jadwigi. Nie o tym chcę mówić. Na dnie pudła znalazłem paczkę, przewiazaną niebieską tasiemką, z listami rówieśników - kolegów i koleżanek. Mieliśmy wówczas po szesnaście-siedemnaście lat. Codziennie chodziłem do gimnazjum imienia Tadeusza Reytana - na róg Wiśniowej, wzdłuż murów więzienia Mokotowskiego. Byłem szczęśliwym chłopcem - nie wiedziałem, co się dzieje za ceglanym murem. W lecie wyjeżdżaliśmy na Mierzę Wiślaną, jeszcze pełną żelastwa po oddziałach niemieckich, które zimą czterdziestego piątego broniły się przed Armią Czerwoną. Pas ziemi pusty, jak wyspa - do Krynicy płynęliśmy przez Zalew Wiślany statkiem z Elbląga lub Tolkmicka. Wiele razy opowiadałem ci o tych wakacjach: o pustych plażach, szyszkach, po których deptaliśmy, idąc nad morze, wydmach porośniętych kłującymi trawami, małych fłądrach uciekających spod stóp, błękitnym niebie. Wieczorami patrzyliśmy na światła Tolkmicka po drugiej stronie Zalewu. Wszystko zostało w oczach.

*

Dwa listy napisane w pięćdziesiątym drugim i na początku pięćdziesiątego trzeciego przez dziewczynę o imieniu Mirosława - wrzucone do skrzynki przy poczcie pod sosnami (wchodziło się z drogi na skarpe, po kamiennych schodkach, chwytając za żelazną poręcz - ciepłą od słońca lub mokrą po deszczu) - przepisuję w całości. Pierwszy, pisany osiemnastego września pięćdziesiątego drugiego: „Mój kochany Józku, zawiadamiam cię, że jestem w ciąży. Wiem to na pewno, bo jeździłyśmy z matką do lekarza w Elblągu. On to potwierdził. Zresztą nie miałam już od dni sierpniowych - wiesz czego. To mnie martwiło, ale teraz wiem na pewno: będziemy mieli dziecko! Cieszysz się? Może później, jak zechcesz, weźmiemy

ślub i razem zamieszkamy z naszym synkiem albo córeczką? Zresztą, co ci będę mówiła - zrobisz, jak zechcesz. Ja na pewno urodzę, chociaż ojciec powiedział, że to wstyd dla dziewczyny urodzić bez męża - bo co ludzie powiedzą? Ale mnie nie zależy, więc tylko tyle ci powiem, że cię kocham. Twoja Mirka, czyli Czarna Jagoda, jak mówiłeś na mnie - pamiętasz? Do zobaczenia, czekam na listy, pa”.

Wyobrażasz sobie, co czułem, czytając tych kilka zdań - list nastolatki, pełen błędów ortograficznych („później” przez „u” otwarte, „mówiła” - tak samo, bez „ę” i „ą” w kilku miejscach). Minęło równo pół wieku. Tę dziewczynę, tę sprawę, list - zupełnie wymazałem z pamięci. Nie spodziewałem się, że coś podobnego przeczytam w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat! Mój Boże! Czy to możliwe? Czy to prawda?

Kochaliśmy się na pustej plaży, raz jeden w czasie sztormu, w grajdole, jak mówiono, osłoniętym skrzynkami wyrzuconymi przez morze. W szparach między deskami świstał wiatr, oczy zasypywał piasek, wpadał do ust, chrząścił w zębach. To był ten pierwszy raz - rozumiesz? Słyszę jeszcze skwir mew krążących nad wydmami - jakby zawieszonych w powietrzu. Były świadkami, widziały nas. I huk fal. Słyszę nasze szybkie oddechy, pamiętam pocałunki. Czuję dotyk małych piersi. Pamiętam nawet, że powiedziała do mnie tak, jak matka, a twoja babka mówiła: „Józeczku”. Myślałem później o tej chwili wiele razy, jednocześnie wykreślając z pamięci listy. Jak to się stało, doprawdy?

Po raz drugi napisała w zimie pięćdziesiątego trzeciego. Tamte lata to koniec epoki Stalina. Twoim dzieciom, nawet tobie, imię tego zbrodniarza niewiele mówi, ale ja i matka pamiętamy złocene portrety na każdej wystawie. Patrzył na nas ze wszystkich ścian. Z czerwonych ołtarzyków ustawianych na szkolnych korytarzach, z gazetek ściennych. Skandowaliśmy hasła na akademiach ku czci. Śpiewaliśmy pieśni: „Stalin naszą gwiazdą jest przewodnią...” I tak dalej. Upokarzający kult. Ale zostawmy Stalina. W lutym Mirka wrzuciła do skrzynki drugi list - drugi i ostatni:

„Mój kochany, rodzic będę w maju. Tak powiedział lekarz, gdy byliśmy u niego na kontroli. Tylko że teraz wszystko nieważne. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, w grudniu, spotkało nas wielkie nieszczęście: ojca mego i kilku innych rybaków zniosło w czasie sztormu na ruski brzeg. Tam zaraz sowieci ich złapali - kazali leżeć na mrozie, w śniegu, z nogami w wodzie, przez kilka godzin.

Później zawieźli do Królewca, do ruskiego więzienia i oskarżyli o szpiegostwo. Żadne tłumaczenia nie pomogły. Ojciec wrócił dopiero teraz. Dwóch innych rybaków razem z nim, ale pana Stachowicza zatrzymali i pewno powiozą na Sybir. My tu z matką nic nie wiedziałyśmy. Inne kobiety tak samo, więc wyobraź sobie, jaka rozpacz była: że utonęli, że

już nigdy nie wrócą albo - jeśli nie daj Boże zniosło łódź na ruski brzeg - że sowieci ich zabili, bo wszystkiego najgorszego można się po nich spodziewać. Na szczęście ojciec przeżył, jeszcze niewiele opowiada - zmienił się, taki smutny siedzi przez całe dni. Nogi ma odmrożone, żebyś zobaczył jego palce, mówię ci! Grozi amputacja. Więcej nie będę pisała - jak latem przyjedziesz, to się wszystkiego dowiesz. Całuję cię, twoja Mirka, Czarna Jagoda, do zobaczenia, pa”.

Dobrze, że cenzura nie przechwyciła listu. A może przeczytali? Może później nowe nieszczęścia spadły na Lachowiczów?

*

Dwa lata pod rząd jeździliśmy na Mierzeję. Obok domu rosły sosny. Z tarasu nad oszkloną werandą (zajmowaliśmy pokój na górze) widzieliśmy drogę, dachy sąsiednich domów i nieczynny port rybacki na Zalewie. Pękate łodzie powyciągane na brzeg. Wieczorami biegliśmy z Mirką boso przez łąkę. W łodzi siadaliśmy na ciepłych deskach - obejmowałem dziewczynę. Pachniało wilgotnym piaskiem, mułem, wodorostami. Za burtą szeleściły trzciny, gwiazdy odbijały się w czarnej wodzie. Na tamtym brzegu mrugały światła. I tak dalej.

Lachowiczowie przyjechali ze wschodu - gdzieś spod Pińska czy Baranowicz. Przed wojną ojciec Mirki mógł pływać statkami po Prypeci - mówiliśmy na niego „bosman”. Tu, w Krynicy, został kapitanem przystani statków pływających po Zalewie. Przy betonowym moło cumowały „Ludwik Waryński”, „Janek Krasicki”, „Albatros” i inne. Zapamiętałem chudego mężczyznę w białej czapce z czarnym otokiem. Wieczorami wracał podpity - z daleka słychać było, jak śpiewa na drodze. Zwykle legionowe pieśni: „My, Pierwsza Brygada...”. Słyszeliśmy później klótnie na dole, podniesione głosy. Lachowiczowa krzyczała na męża - bosman przeproszał. Kiedyś widziałem, jak klęczał przed panią Basią, obiecywał poprawę, bił się w piersi. Słyszałem nawet, jak śpiewał po ukraińsku:

*Oj, nykto ne wynen, tilky ja, tilky ja, tilky ja,
szczo polubyla hultaja, hultaja, hultaja...*

Znałem tę piosenkę - ojciec często śpiewał ukraińskie dumki i skoczne przyśpiewki:

*Hultaj ne robyt, tilky pije, tilky pije, tilky pije,
prijde do domu, zinku bije, zinku bije, zinku bije...*

- z akcentem na „-je”.

Śmiejąc się, opowiedziałem mamie, jak bosman śpiewał o hultaju, a mama mówiła, że pijacy nie potrafią dotrzymywać słowa, że to smutne, ale nałóg zawsze weźmie górę. Miała rację, bo po kilku dniach znów słyszeliśmy na drodze: „Legiony to żebracza nuta...”

Dlaczego przed Bożym Narodzeniem popłynął z rybakami? Może stracił pracę? Przestał być kapitanem Żeglugi Wiślanej, czymś się naraził? Może ktoś doniósł, że śpiewa *Pierwszą Brygadę*? Wszystko możliwe.

Pamiętam przystań - barak z czerwoną tablicą „Kapitanat portu”. Tam ojciec Mirki urzędował za dnia. Dalej było betonowe moło. Pasy trzciny po dwóch stronach. Słońce nad Zalewem. Mewy. W oczach wszystko zostało: „Marceli Nowotko” zbliża się do przystani. Bosi marynarze stoją przy barierkach - trzymają cumy. A za nimi kolorowa gromada dzieci - wycieczki, wycieczki. Biała chmura ptaków leci za rufą.

W czasie mgły odzywała się syrena - buczała w równych odstępach co parę minut. Wychodziłem na taras nad werandą i słuchałem niskiego dźwięku płynącego z oddali. Nie widać było zalewu - tu, bliżej, sznur gęsi szedł, kolebiąc się, w stronę wody. Powoli znikwały we mgle.

Pani Basia Lachowiczowa była drobną niewiastą, jakby powiedział dziadek Henryk. Zawsze uśmiechnięta, życzliwa, pogodna. W ciemnej kuchni przy piecu, z buzującym pod blachą ogniem, najczęściej stało kilka kobiet. Sąsiadki, letniczki. Zapach smażonych ryb, pryskający tłuszcz na patelniach. A za otwartymi drzwiami (tuż obok rosły sosny) na trawie lub na piasku baraszkowały kilkumiesięczne bliźniaczki - najmłodsze z rodzeństwa Lachowiczów - pełzały wśród chwastów, kawałków szkła i gęsiich odchodów. Mirka miała jeszcze dwóch braci - jeden, jak pamiętam, był w wojsku.

W pięćdziesiątym pierwszym nie zwróciłem uwagi na córkę Lachowiczów. Była chuda, piegowata, na cienkich nogach. Z rudą szopą na głowie i z brudną szyją. Zawsze boso, w czerwonej bluzce. W jej włosach zauważyłem kiedyś sosnowe igły. Gotowała z matką obiady dla letników. Jadaliśmy na werandzie, przy stole przykrytym lepką ceratą - najczęściej smażone flądry czy dorsze.

Dopiero w pięćdziesiątym drugim, pamiętam: jakieś jedno, dwa słowa, uśmiech, muśnięcie ręki. Minął rok - ona mogła być trochę starsza ode mnie. Zaczęła czesać włosy i myć szyję. Nosząc talerze zerkalała na mnie. Byłeś podobny do ojca w tym wieku, więc możesz sobie wyobrazić: chłopaka w krótkich spodenkach, ze skórą oblażącą z nosa. Przybiegałem z plaży ostatni, zdyszany, żeby zdążyć na drugą. Babcia Jadwiga szła zwykle pierwsza.

Kiedyś, gdy padał deszcz, wysłano nas na jagody - rosły wszędzie, wystarczyło wejść

do lasu, blisko domu Lachowiczów. Wtedy po raz pierwszy pocałowałem Mirkę. Leżeliśmy wśród mokrych krzaków, umazani jagodami, na mchu, pod sosnami. Przeważałem Lachowiczównę Czarną Jagodą.

Dlaczego nie odpisałem na jej listy? Ani na pierwszy, ani na drugi? Zapewne chciałem ukryć wiadomość przed rodzicami. Byłem siedemnastoletnim smarkaczem, niezdolnym do samodzielnego życia - do podejmowania decyzji. Być może pomyślałem, że dziewczyna kłamie, że chce przypomnieć o sobie, zwrócić uwagę. Lub że to tylko żart Czarnej Jagódki. Nigdy o tych listach nie wspomniałem rodzicom - ani matce, ani ojcu. Schowałem na dno szuflady w szafce z podręcznikami. Leżały tam przez lata, wśród starych legitymacji, zdjęć, innych listów. Później trafiły do pudła w piwnicy.

Jeszcze jedno zdarzenie: w pięćdziesiątym pierwszym, gdy nie zwracałem uwagi na Mirkę, raz spotkaliśmy się na wydmach. Daleko od domu i rybackich łodek. Późno - na pewno zachodziło słońce.

Wyszedłem spod sosen, minąłem stary trakt kolejki do Królewca (zardzewiałe szyny i podkłady) i poszedłem dalej wśród kłujących traw. Chciałem poszukać bursztynów na pustej plaży. Widziałem już skrawek morza na końcu ścieżki - wszystko jeszcze w słońcu. W odcieniu różowym: wydmy, trawy. Szedłem powoli po zimnym piasku, kiedy z boku mignęło za wzniesieniem coś czerwonego. Usłyszałem kilka słów - jakaś dziewczyna śpiewała: „Zdobyczym krokiem idziemy w słoneczny świat...”

Rytmicznie, skandując, prawie wykrzykując słowa, tak jak dziś robią to raperzy. Stałem chwilę słuchając:

*...wznosząc do góry i czoło i pięść,
my nowe życie stworzymy i nowy ład,
a ponad nami jak sztandar płynie pieśń!*

Przebiegłem kilka kroków, schylony, a potem na kolanach i łokciach podczołgałem się na grzbiet wydmy. Wyjrzałem ostrożnie. Niżej, na niewielkiej polanie porośniętej siwą trawą, tańczyła Mirka. Trzymała czerwoną chusteczkę nad głową. Wywijała nią lub zamiatała piasek pod stopami w ukłonach. Była boso, tylko w kostiumie kąpielowym. Chude uda i łydki były białe. Rude włosy przewiązała tasiemką. Wyginała się w tańcu - wykonywała podskoki. Kilka razy zrobiła przewrót - gwiazdę. Sapała głośno z wysiłku. Czerwona chusteczka migała nad głową. W czasie skoków przerywała na chwilę śpiew, ale potem znów słyszałem:

W pierwszym szeregu walczących roboczych mas...

Nie wytrzymałem długo - zaśmiałem się głośno. Wtedy zatrzymała się w pół kroku, spojrzała w górę, na mnie, i spytała ze złością:

- Co się gapisz?

- Nie można? - odkrzyknąłem.

Porwała z trawy sukienkę, szybko włożyła przez głowę, chwyciła sandały rzucone na piach i pobiegła w stronę lasu. Wśród siwych traw, na wydmie, mignęła chusteczka. Tyle ją widziałem.

Śmiejąc się, schodziłem ścieżką na plażę.

Później pani Basia powiedziała mamie, że Mirka należy do zespołu tańca przy szkole w Elblągu. Pewnie ćwiczyła, aby nie wyjść z wprawy podczas wakacji. Nigdy - kiedy już została niby moją dziewczyną w pięćdziesiątym drugim - nie spytałem o tamten taniec ani o szkolny zespół. Czy jeszcze po urodzeniu dziecka tańczyła kiedykolwiek? Nie odezwała się więcej. Może naprawdę wszystko wymyśliła: ciążę, przygodę ojca?

*

Mijały tygodnie, miesiące, lata - mijało życie moje, matki i twoje. Coraz rzadziej myślałem o Czarnej Jagodzie. O jej włosach, trochę rudych, z zielonymi igłami zamiast szpilek. W końcu ona, dom pod sosnami, tamten sztorm, pusta plaża, szpary w deskach, przez które wiatr nawiewał piasek - wszystko uleciało z pamięci. Dziś zastanawiam się, czy rodzice wiedzieli? Dlaczego nigdy już nie pojechaliśmy na Mierzeję? Może mama wymieniła listy z panią Basią? Może Lachowiczowa napisała do niej? Może coś uzgodniły - załatwiły sprawę poza nami?

Po maturze chciałem iść na studia, na które zresztą nie dostałem się wtedy. Ta dziewczyna, w gruncie rzeczy, niewiele mnie obchodziła - jej los, los naszego dziecka (jeśli to było nasze dziecko). Nie wyobrażałem sobie wspólnego życia, mieszkania pod jednym dachem. Zresztą gdzie i z czego byśmy żyli? Wszystkie plany przekreślone. I tak dalej, i tak dalej. Jeśli w ogóle myślałem o Mirce, o tej sprawie, to tylko tak. Tylko tak.

A z drugiej strony - oni, na Mierzei, jak patrzyli na mnie? Jej rodzice, pani Basia, ojciec? Jakim kandydatem na męża córki byłem dla nich? Siedemnastolatek bez zawodu. Paniczyk z miasta. Chudy smarkacz w krótkich spodenkach. „Naręczony od zbierania jagódek”, mógł pokpiwać bosman. A może już mieli kandydata na męża Mirosławy? Kogoś ze swoich, z Mierzei - rybaka, który zgodził się wziąć „pannę z dzieckiem”? Nie wiem, nie wiem. Tyle pytań i żadnej odpowiedzi.

Teraz, po upływie pół wieku, myślę o tym inaczej, ale lata pięćdziesiąte to była epoka Stalina, czas donosicieli. Ojca przesłuchiwało UB. W każdej chwili groziło aresztowanie za AK-owską przeszłość. Nękali ojca przez kilka lat. Lachowicz dopiero co poznał sowieckie kazamaty. Nasi rodzice bali się - to nie było normalne życie. I nam, młodym, groziły wpadki. Mogłeś zostać wyrzucony ze szkoły, gdybyś parsknął śmiechem na akademii „ku czci”. No dobrze, dość usprawiedliwień. Postanowiłem wyjaśnić sprawę. Jadę na Mierzeję. Odszukam kogoś z Lachowiczów. Jeśli tam mieszkają jeszcze. Jeśli żyją. Wypytam sąsiadów, krewnych, znajomych. Kogokolwiek, kto pamięta tamte czasy - kto wie. Być może dotrę do papierów urzędowych, do aktu urodzenia - do kościelnych metryk. Bo przecież był tam kościół. Był Urząd Stanu Cywilnego. Poznam imiona ojca i matki, jeśli to dziecko rzeczywiście przyszło na świat. Zobaczę na własne oczy. Chociaż, z drugiej strony, zdaję sobie sprawę, że wszystko może być jak ślady na piasku. Idziesz brzegiem, fale podchodzą, cofają się - ślady twoich stóp nikt nie widzi, zalewane wodą. Widzisz tylko turlające się kamyki.

*

Pojechałem na Mierzeję szóstego października. Ten dzień to rocznica śmierci dziadka. Przyjechałem na Rakowiecką dwa dni wcześniej, wezwany przez matkę. W chwili, gdy pielęgniarki znosili ojca na krzesło. Do karetki, która stała przed domem. Nie mógł sam zejść z trzeciego piętra - dostał rozległego zawału, jak powiedziała później lekarka. Niedawno skończył osiemdziesiąt pięć lat.

Wyjechałem rano, naszym białym fordem fiesta, myśląc o tamtych dniach. Ojciec uśmiechnął się do mnie, kiedy pielęgniarki postawili krzesło koło karetki. Miał poszarzałą twarz. Pamiętam, że trzymał okulary w palcach lewej ręki - nie zdążył schować do futerału. Pobiegnę po futerał na górę. Później przez dwa dni szukałem szwajcarskiego lekarstwa, którego nie mieli w szpitalu. Nosilem kompoty gotowane przez matkę. W słoikach, których ojciec nie otwierał. Umarł na oddziale intensywnej terapii w niedzielę, szóstego października. Pogrzeb był we wtorek, pamiętasz?

*

Teraz, po dwudziestu latach z okładem, jechałem w stronę morza, ale nie tamtą, najbardziej znaną trasą - przez Ciechanów, Mławę, Miłomłyn - płaski kraj. Przed Płońskiem skręciłem na Rypin.

Rano rozmawialiśmy z Olgą przy śniadaniu. Jak codziennie - przy stole z widokiem na las. Nie zdradziłem swego planu. O dziesiątej, kiedy poszła do sklepu, wyprowadziłem fiestę z garażu. Drzwi domu zamknąłem swoim kluczem. Dopiero po dwóch godzinach zdecydowałem się zadzwonić. Stałem w lesie, na poboczu, gdzieś niedaleko Brodnicy.

Wystukałem numer telefonu Olgi. Zgłosiła się natychmiast.

- Co się dzieje? - spytała.

Trzymałem komórkę przy uchu i milczałem. Zawahałem się: może nic nie mówić, wracać? Mogłem powiedzieć: „niedługo będę, pojechałem na pocztę, do warsztatu, do banku”. Cokolwiek. Dzwonimy tak do siebie często w ciągu dnia. Zwyczajna rozmowa, krótka informacja. A jednak powiedziałem:

- Jadę nad morze. Po drodze odwiedzę Antka w Jeziorniej.

- Dlaczego nic nie mówiłeś? Co to znaczy?

- Wytlumaczę później. Jak wrócę. Nic się nie stało.

- Coś kręcisz - powiedziała Olga i przerwała połączenie.

Dalej jechałem już bez zatrzymywania się, przez pola i lasy w jesiennym słońcu. Dzień był pogodny - przez opuszczoną szybę wiatr nawiewał zapach dymów z ognisk palonych na kartofliskach.

*

Moje życie z Olgą. Nasze życie - jej i moje. Pierwsze lata zacierają się w pamięci. Byliśmy bardzo młodzi, gdy pobieraliśmy się. Niefrasobliwi, lekkomyślni. Wszystko miało „jakoś być”. Połowa lat pięćdziesiątych. Październik, lata sześćdziesiąte. Komunizm, ten nudny komunizm i nasza codzienność: inna, wesoła, życie na utrzymaniu rodziców. Kino, zabawy, spotkania towarzyskie. Wyjazdy na wakacje. Góry, morze. Dowcipy o Gomułce, o Chruszczowie.

*Z pączka rozwija się kwiatek,
w życiu radości jest wiele -
spójrz, jaki piękny jest świątek,
ze Związkiem Radzieckim na czele!*

Pamiętasz ten wierszyk? Musiałeś słyszeć w domu rodzinnym.

W kinach dawali *Czerwoną oberżę*, *Fanfana Tulipana*, *Lecą żurawie*. W radio śpiewał Ives Montand: „Ce la chanson nous dockers...” Paul Robson pieśń o Missisipi. Dużo radzieckich piosenek: „Pust’ wsięga budiet sołnce...”

W tamtych latach komunizm nie doświadczył nas boleśnie. Dopiero później, dopiero potem wszystko uległo zmianie. Od mojej pierwszej pracy. Od twego przyścia na świat. Nie znosiłem pokoju, który wynajmowaliśmy. Uciekałem od twego płaczu, prania pieluch, od zdenerwowanej matki. Wyjeżdżałem i wracałem - zmieniałem miasta, otoczenia, ludzi. W

iluż biurach, na ilu budowach się szwendałem? Jako stażysta-referent, później, po aplikacji, jako radca prawny. Były inne kobiety, konflikty z matką, rozstania. Zerwania i powroty, zerwania i powroty. Czy matka opowiadała ci o naszym życiu?

No dobrze, dosyć wspomnień. Wracam do Mirki - do tej podróży na Mierzeję, trochę wbrew sobie. Czy cokolwiek zdołam wyjaśnić?

*

Wieczorem dojechałem do Jeziornej nad Pasłęką.

Pamiętasz stryja Antoniego? Jest dyrektorem stadniny. Jeździec, olimpijczyk. „Ten nasz kochany Antoś”, mówiła babka Jadwiga. Znamy się od dziecka - nasi ojcowie byli braćmi stryjecznymi. Istotnie, chciałem go odwiedzić po latach. Był dla mnie jak rodzony brat. Jemu mogłem się zwierzyć. Prosić o radę. Zapytać, co robić z listami Mirki? Jechać na Mierzeję, po upływie pół wieku? Wracać?

Nasze życie nie jest beztrudne. Nawet drobne zmartwienia zakłócają spokój: katar, hałasy za oknem, ból głowy. A cóż dopiero poważna sprawa. Pomyśl: tyle lat wspólnie przeżytych z matką, i nagle mówię, że na Mierzei mam dziecko? Syna lub córkę? Twego brata lub siostrę? Dlaczego nie powiedziałem przed ślubem - kiedy byliśmy parą szczęśliwych narzeczonych? Dlaczego nie zdobyłem się wtedy na szczerość?

Antoni czekał na mnie na podeście ganku z kolumnami (nad gankiem taras). Biura i mieszkanie dyrektora stadniny mieściły się w ocalałym po wojnie pałacu. Przed budynkiem gazon z rabatami, a wokół drzewa: stare lipy. Dużo starych lip. Wbiegłem po stopniach, pozostawiając drzwi fiesty otwarte. Przywitaliśmy się serdecznie:

- Kopę lat, kopę lat, bracie! - mówiliśmy jednocześnie.

Antoni, choć trochę starszy ode mnie, na pewno jest w lepszej formie. Postawny mężczyzna - wysoki, siwy, czerstwa twarz. Duże ręce. Sweter golf, bryczesy. W obszernej sieni stało kilka par butów do konnej jazdy. Podziwiam go - jak sobie radzi? Kilkaset hektarów łąk, stajnie, obory. Oprócz koni pełnej krwi, folblutów, jak mówił, są jeszcze krowy holenderskie.

Siedzieliśmy do późna przy zastawionym stole. Wspominaliśmy naszych rodziców - matki, ojców. Oglądaliśmy papiery rodzinne, które Antek wyjął z szuflady biurka, spod lampy ze szklanym abazurem (zielone szkło). Dużo rodzinnych fotografii - starych, na tekturkach. Zakłady fotograficzne ze Lwowa, z Kijowa. Nawet z Humania, Berdyczowa, Żytomierza. Dziadkowie Norbert i Tadeusz. Babki - Aurelia i Bogumiła.

Piliśmy czerwone wino. Skórzane fotele. Zapach starych mebli. Ciemne okna bez zasłon, za którymi, póki nie zapadła noc, widziałem kontury wielkich lip. Antek mieszka sam

- jego żona Lilka, którą pamiętałem jak przez mgłę, odeszła. Dwie córki powychodziły za mąż. Opowiadał o Małgorzacie i Zosi i o wnukach. Ja mówiłem o tobie, o twoich dzieciach. O Mirce nie wspomniałem. Ani o listach, ani o celu podróży. Nie zdobyłem się na odwagę.

Pamiętam dużo kolorowych zdjęć. Ślub Małgosi, chrzest wnuka, pierwsza komunია i nagle zdjęcie z pogrzebu. Trumna w kwiatach, wieńce. Profil kobiety. W tle witraże.

- Ciotka Helenka - powiedział Antoni.

Nie znałem ciotki Helenki.

Rankiem, siódmego października, pojechaliśmy bryczką na łąki. Słońce dopiero co weszło. Omijaliśmy kępy wierzb. Bryczka kołysała się na wyboistej drodze. Parskały konie. Stanęliśmy przed płotem nad rowem - dalej poszliśmy piechotą, po mokrej trawie, omijając krecie kopce. Tam gdzieś otoczyło nas stado koni. Antoni przywołał je gwizdem. Widzieliśmy, jak galopowały z daleka - spod wierzb, wynurzały się z mgły. Klacze z podrośniętymi źrebakami. Kasztanowe, kare, z białymi strzałkami na czołach. Otoczyły nas szczelnym kołem. Wyciągały szyje, poruszały chrapami. Kiedy unosiłem rękę, chcąc dotknąć którejś - podrzucały łbami. Błyskały białka oczu. Zapach końskiego potu, sierści. Niektóre grzebały kopytami, tuliły uszy. Antoś klepał klacze po szyjach. W jego głosie była inna nuta. Przemawiał do koni czule.

*

O dziesiątej pojechałem dalej. Miąłem Elbląg. W Nowym Dworze skręciłem na północ, w stronę morza, i jechałem na Sztutowo, Stegnę, Kąty Rybackie. To tam zaczynała się Mierzeja. Dalej znów były lasy w jesiennym słońcu, jak wczoraj za Rypinem.

W Kątach Rybackich, w małym porcie na Zalewie, próbowałem w pięćdziesiątym pierwszym łowić ryby. Chodziłem z wędką wzdłuż betonowego nabrzeża, przy którym cumowały łodzie rybaków. Spławik kołysał się na czarnej wodzie. Mewy krążyły nad przystanią. Zdaje się, że nie złowiłem ani jednej ryby. Z pustą siatką wracałem przez las. Czy Mirka śmiała się ze mnie, gdy pod wieczór zjawiłem się w domu pod sosnami?

Jadąc przypominałem sobie znajome zakręty leśnej drogi - za mną i przede mną. Do miejsca, gdzie za drzewami błysnął Zalew. Dojeżdżałem do celu. Zaczęły się domy - po lewej i prawej stronie. Jadąc bardzo wolno, starałem się zorientować, gdzie był dom Lachowiczów? Pamiętałem, że stał na wzgórzu, na zakręcie piaszczystego traktu przez wieś (asfalt położono później - zapewne w latach sześćdziesiątych). Nie mogłem sobie przypomnieć - wszystko wyglądało inaczej. Domy były inne - szare, jak betonowe bunkry z płaskimi dachami. Znikły te, które miałem w oczach - z czerwonej cegły, kryte dachówką holenderką. Przypominałem sobie, że na zakręcie, skąd biegła ścieżka pod górę, rósł stary dąb. Dębu nie było, ale

zauważyłem pień i odrosty - pęk gałęzi, pożółkłe liście dębowe. Wyżej, pod sosnami, stał dom. Zobaczyłem szare ściany. W szybach oszklonego ganku odbijało się niebo.

Zjechałem na pobocze i wysiadłem z samochodu. Stałem chwilę przy uchylonych drzwiach, wdychając chłodne powietrze. Pachniało inaczej - stare zapachy, które pamiętałem z tamtych lat - sosen, łąk, piasku, dymu z kominów - znikły. Kilkadziesiąt metrów dalej, na skrzyżowaniu dróg - asfaltowej z traktem przez las w kierunku morza (biegaliśmy tamtędy codziennie w stronę rybackich łódek na plaży) - zobaczyłem stację benzynową. Powiało benzyną. Ruchliwą trasą przejeżdżały samochody - pachniało kurzem i spalinami.

Przebiegłem na drugą stronę asfaltu i powoli zacząłem iść pod górę. Pamiętam, że szedłem po płytach wąskiego chodnika, wzdłuż drucianej siatki, za którą były grządki. Trochę kwiatów, warzyw, krzewy porzeczek i agrestu. Doszedłem do zamkniętej furtki, na której wisiała zardzewiała skrzynka na listy. Stałem chwilę, patrząc na zmieniony dom: nie było drewnianej werandy ani tarasu nad nią, z którego patrzyliśmy na łąki i zalew. Na tym miejscu postawiono murowany ganek z małymi okienkami. Betonowe schodki prowadziły na podest przed gankiem. Dalej były drzwi. Tylko sosny pozostały te same. Nawet uschnięty konar jednej z nich wydał mi się znajomy. Dawniej wisiała tam huśtawka, na której Mirka huśtała bliźniaczki.

Nacisnąłem dzwonek. W domu rozszczękał się pies. Po chwili, kiedy ktoś otworzył drzwi nad schodami, ten pies - mały kundel z ogonem jak obwarzanek - wybiegł ujadając. Cofnąłem się odruchowo, bo zaczął skakać na furtkę po drugiej stronie - szczekał zajadle. W uchylonych drzwiach zobaczyłem kobietę. Była w szarej spódnicy i zielonym swetrze. Na głowie miała chustkę - coś kolorowego. Dzielilo nas kilka kroków, ale nie słyszałem, co mówiła, bo pies szczekał bez przerwy. Kobieta zeszła po schodkach i zbliżyła się do płotu. Na bosych nogach miała pantofle bez pięt - szurała nimi idąc po betonowej ścieżce. Odpędziła psa.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Czy tu mieszkali państwo Lachowiczowie? Jan i Barbara.

Patrzyła na mnie przez chwilę, jakby zaskoczona pytaniem. Wydawała się starą kobietą - zmęczoną. Spod chustki wystawały kosmyki siwych włosów.

Zwróciłem uwagę na jej ręce - skórę na dłoniach miała czerwoną, jak po odmrożeniach. Tylko niebieskie oczy były młode.

- Mieszkali. Ale już umarli - powiedziała.

Pies szczekał teraz spod krzewów porzeczek.

- A Mirosława, córka Lachowiczów?

- Matka też nie żyje. Zmarła w tym roku, na wiosnę.

- Mój Boże - powiedziałem. I powtórzyłem po chwili: - Mój Boże.

Patrzyła na mnie bez uśmiechu. Pomyślałem, że nie ma ochoty na rozmowę. Nie otworzy furtki, nie zaprosi dalej. Nie mam na co czekać. Wewnątrz domu głośno grało radio.

- Przyjeżdżałem tu na wakacje, jako chłopak. Bardzo dawno. Minęło pół wieku. Znałem pani dziadków i mamę - odezwałem się po chwili.

Teraz dopiero uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała:

- Niestety, wszyscy już nie żyją.

Za jej plecami, w drzwiach ganku stanęła dziewczynka - mogła mieć dziesięć lub dwanaście lat. W niebieskiej sukience. Na chudych nogach duże adidas - pewno ojca lub matki. Na głowie szopa jasnych włosów - trochę jak fryzura afro.

- Mamo, wujek Krzysiek dzwoni!

- Przepraszam - powiedziała kobieta.

Odwróciła się i poszła w stronę domu, tak samo szurając pantoflami po betonowej ścieżce. Zaświeciły gołe pięty. Czekałem jeszcze chwilę za furtką. Drzwi pozostały uchylone. Szczekał pies - znów podbiegł blisko. Zdawało mi się, że przez szparę patrzy na mnie chuda dziewczynka. Widziała starszego mężczyznę w sztruksowych spodniach wypchanych na kolanach, w rozpiętej wiatrówce i flanelowej koszuli: kim byłem, czego chciałem, po co niepokoiłem matkę? Siwa głowa, okulary, duży nos. Położyłem dłoń na żelaznej listwie furty (co jeszcze bardziej rozeźliło psa) i czekałem. Ale matka dziewczynki już nie wróciła.

Po dwóch lub trzech minutach - zrezygnowałem. Powoli zacząłem schodzić w dół wąskim chodnikiem. Pies cały czas szczekał. Odprowadził mnie aż do drogi.

Później, stojąc koło samochodu, patrzyłem jeszcze chwilę na Zalew. Był szary, jak chmury. Daleko, zamglony, drugi brzeg. Wsiadłem do samochodu i odjechałem wolno.

*

Dwie godziny po tej rozmowie wynająłem pokój w pawilonie Ośrodka Turystycznego, na końcu osady, daleko od domu Lachowiczów. Byłem, zdaje się, jedynym lokatorem. Chciałem być sam przez dwa, trzy dni - zastanowić się, pomyśleć.

Mój drogi Jacku, dopiero tu, w tym obskurnym Ośrodku - dawniej zapewne Wczasów Pracowniczych - około dziesiątej lub jedenastej wieczorem, leżąc na twardej wersalce, na kocu pachnącym stęchlizną - uświadomiłem sobie, że kobieta, z którą rozmawiałem, może być moją córką! Rozumiesz? A dziewczynka z ganku - moją wnuczką. Czy to możliwe?

Leżałem wpatrując się w zapaloną lampę - białą kulę. Zamykałem oczy, a wtedy pod powiekami widziałem czerwoną plamę. Otwierałem oczy - biała kula. Zamykałem - czerwona

plama. W końcu zacząłem zasypiać. Z tego półsnu obudził mnie telefon twojej matki - sygnał komórki. Przed wyjazdem od Antoniego rozmawialiśmy krótko - powiedziałem, że wieczorem zadzwonię. Olga odezwała się pierwsza. Oczywiście zaniepokojona i zdenerwowana - dlaczego nie dzwonię? Próbowałem przeproszać. Mówiłem, że jestem nad morzem, że chcę się tu zatrzymać na parę dni. Odpocząć.

- Po czym chcesz odpoczywać? Masz chyba wygodne życie.

- Olu, po powrocie wszystko wyjaśnię - powtórzyłem kilka razy.

- Co chcesz mi wyjaśniać? - podniosła głos. - Lepiej powiedz od razu!

I tak dalej, i tak dalej. Dużo niepotrzebnych słów. Matka coraz bardziej zdenerwowana, ja bezradny. Nie próbowałem tłumaczyć, o co chodzi, poszukać tych kilku słów, które by Olgę uspokoiły. Znow nie zdobyłem się na szczerość.

Była zdziwiona, że nie nocuję u Antka, w Jeziornej. Pytała o to kilka razy:

- Dlaczego?

W końcu przerwała połączenie. Jeszcze przez chwilę słyszałem powtarzające się, krótkie sygnały.

Zasnąłem dopiero nad ranem.

*

Zbudziła mnie głośnie rozmowa za drzwiami. Szczekanie psów. Przez szpary w ramach okiennych wiało chłodnym powietrzem. Ogoliłem się i umyłem w zimnej wodzie, w małej łazience z pękniętą umywalką. Wszystko tu było stare, brudne, zakurzone - jak z dawnej epoki. Pamiętasz lata siedemdziesiąte - „propagandę sukcesu”? Pracowałem wtedy pod Piotrkowem Trybunalskim. Przyjeżdżałeś czasem do mnie. U gospodarzy, na kwaterze, gdzie mieszkałem, nie było łazienki. Myłem się w miednicy. Do ubikacji chodziliśmy za stodołę. W małych sklepikach wiejskich kupowaliśmy gliniasty chleb i słoiki z truskawkowym dżemem. Na półkach stały butelki z octem. Robotnicy z naszej bazy wysiadali na schodkach przed sklepem. Pili jabłeczne wino z brązowych butelek. Nad bramą, przy wejściu na plac budowy, wisiało hasło: „Program Partii - programem narodu”. Wszystko było atrapą: na pokaz optymizm, papierowy dobrobyt - w rzeczywistości ubóstwo, brud i butelki z octem.

Wyjechałem z Warszawy w czasie kryzysu w naszym małżeństwie. Miałeś wtedy dwanaście lat - jak ta dziewczynka na ganku. Pamiętasz? Tak, tak, mój drogi, ty sam już przeżywałeś podobne dylematy. Spotykasz kobietę, bez której nie możesz żyć. Jej oczy, figura, dotyk ręki - nic więcej się nie liczy. Myślisz o niej bez przerwy: wieczorem przed zaśnięciem, rano po obudzeniu się. W ciągu dnia. Myślisz o tym, jak się śmieje (słyszysz jej

śmiech), jak patrzy na ciebie. I znów: nim zaśniesz - myślisz, budzisz się - myślisz. Reszta to jest życie, w którym tkwisz niepotrzebnie, bez sensu. Bywałem tak zauroczoney. „Taka była prawda”, jak powiedzieliby dziś. Ale mniejsza o to - nasze małżeństwo przetrwało. Nie straciłeś ojca - wróciłem do matki.

Teraz, po latach, w tym ośrodku dawniej Wczasów Pracowniczych, tamte dni ożyły w pamięci. PRL-owskie hotele, domy, kwatery. Te oszklone pawilony, te paprotki i palmy na korytarzach. Kurz, czerwone chodniki. Brudne klozety, płytki PCV na podłogach, linoleum, nieszczelne okna. Brakowało tylko hasła „Program Partii - programem narodu”. Jeszcze niedawno pewno tu było.

Miałem pokój pośrodku korytarza. Rozmowa sprzątaczek za drzwiami bardzo głośna. Śmiały się raz bliżej, raz dalej. Za oknem sosny (wszędzie tu sosny, sosny) - wiało październikowym chłodem. Zamglony błękit.

Co dalej? Herbata plujka - wrzątek z elektrycznego czajnika. Ten czajnik i szklanek długo płukałem, klęcząc przed kabiną prysznicową. Dwie bułki z żółtym serem. Włożyłem sweter, białą czapkę na głowę, na nogi tenisówki. Zamknąłem pokój na klucz.

W holu, na parterze, pod ścianą, na dwóch starych fotelach drzemały psy. Mały kundel z przetrąconą łapą, czarny, z ogonem zakreconym - przypominał tego, który wczoraj obszczekiwał mnie zza furtki. Drugi - wielki, płowy, przypominał doga. Zeskoczyły z foteli i zaczęły witać się ze mną jak ze starym znajomym. Klepałem psie brzuchy, karki, tarmosiłem za uszy. Mały kundelek pokuśtykał za mną w stronę plaży. Szedłem ścieżką, między campingowymi domkami. W szybach niektórych bud odbijało się niebo. Na ścieżce leżały szyszki. Zapach igliwia, mchu. Przypomniałem sobie, jak przed pół wiekiem wychodziliśmy z lasu, spod karłowatych sosen, tuż przed wydrami. Brnęliśmy dalej boso, po gorącym piasku, pod górę, na wydnię, skąd widać było morze. Obok, za palikami z przybitym drutem, rosły krzaki dzikiej róży. Kiedy kwitła, mocny zapach unosił się w powietrzu. Gdy wiał wiatr, nie czuliśmy zapachu. Morze było gładkie lub wzburzone. W upalne dni - błękitne.

I dziś z wydmy, na którą wyprowadziła mnie ścieżka, zobaczyłem morze, ale pod październikowym niebem szare, przykryte mgłą - jak Zalew. W mgłę ginęła linia horyzontu. Słońce ledwie co przeświecało zza chmur. Postąłem słuchając, jak krzyczą mewy śmieszki nad plażą. Potem schyliłem się, żeby zdjąć tenisówki i podwinąć nogawki. Czarny kundelek pokuśtykał z powrotem - nie miał ochoty iść dalej.

- Hej, przyjacielu! - zawołałem, ale nie obejrzał się.

Tego pierwszego dnia podczas spaceru cały czas towarzyszyły mi wspomnienia. Minąłem łódki wyciągnięte na brzeg. Leżały na piasku w tym samym miejscu co wtedy. Było

ich mniej, jak mi się zdawało i tylko na jednej zauważyłem pęk tyczek z chorągiewkami. Tkwiły w blaszanych kulach, którymi oznaczano łowiska. Gdzieś w pobliżu kochaliśmy się z Mirką. Przecinając na ukos plażę, doszedłem do wydmy. Chwilę deptałem po zimnym piasku, omijając stare palisady z patyków i zarysy dołów. Potem wróciłem na brzeg.

Krzyczały mewy, zapach morza. Czasem uskakiwałem przed falą. Małe kamyki turlały się po mokrym piasku, w strumieniach cofającej się wody. Trochę dalej, na pniu wyrzuconym przez morze, blisko brzegu, dostrzegłem ciemną postać. Ktoś siedział odwrócony plecami do morza. Tuż nad brzegiem poruszała się mniejsza - żółta plama. Dopiero kiedy byłem blisko, zobaczyłem, że to kobieta i dziecko. Nie widziałem twarzy - oboje byli odwróceny. Kobieta miała czarny szal na ramionach. Siwe włosy. Kiedy przechodziłem za jej plecami, uniosła rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Zapamiętałem ten gest. Żółta plama okazała się bluzą kilkuletniego chłopca. Bosy, podwinięte nogawki spodenek - kopał czerwoną łopatą dół, do którego wlewały się fale. Ominąłem go, idąc łukiem, po suchym piasku, a kiedy popatrzył na mnie, zobaczyłem, że to dziecko z zespołem Downa: okrągła twarz, oczy jak guziki, na wpół otwarte usta. Mógł mieć osiem lub dziesięć lat. Uśmiechnąłem się, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

Wracałem przez las jedną ze ścieżek, którymi chodziliśmy nad morze. Doszedłem do starego traktu z drewnianych pni kiedyś układanych na piasku. Pnie dawno przegniły, a może zostały zerwane? Gdybym dalej poszedł ścieżką, wyszedłbym na asfaltową drogę blisko domu Lachowiczów. Przez chwilę znów przeżywałem rozterkę: a może pójść? Natychmiast wszystko wyjaśnić? Zapytać kobietę zza furty, kiedy się urodziła? Czy w maju pięćdziesiątego trzeciego? Czy zna imię ojca? Co mówiła matka?

Stałem pośrodku traktu, między koleinami wyżłobionymi w piasku, patrzyłem na korony sosen na tle szarych chmur i nie mogłem podjąć decyzji. W końcu, po kilku minutach, zacząłem odchodzić od tej ścieżki - od skrzyżowania. Coraz dalej od domu Lachowiczów - drogą przez las (równoległą do asfaltowej). Coraz prędeziej, przyspieszyłem kroku, potem zacząłem biec. Staralem się pokonać własną słabość, zmęczenie, ale i tak trochę dalej musiałem stanąć, głośno łapiąc oddech. Schyliłem się, oparłem ręce o kolana i tak, w rozkroku, pośrodku starej drogi, stałem długo.

*

Po powrocie - dziwne zdarzenie. Kiedy odebrałem klucz w recepcji i szedłem po ścieżce z betonowych płyt w kierunku pawilonu - już blisko drzwi wejściowych - zobaczyłem, jak ktoś z drugiej strony pchnął gwałtownie te drzwi. Uderzyły o ścianę. Z holu wybiegła dziewczyna - jedna z trzech recepcjonistek. Zdaje się, że ta, która wczoraj

załatwiała formalności związane z moim pobytem. Ukłoniłem się, ale ona bez słowa przebiegła obok. Podobne do niej często spotykamy na ulicach: blondynka, rozpuszczone włosy, blade oczy. Zapamiętałem długie paznokcie - fioletowe lub niebieskie. Za nią wybiegł młody mężczyzna. Był w białej koszuli - kołnierzyk rozpięty, przekrzywiony krawat.

- Marzena! Marzenko, wróć! - zawołał.

Ale dziewczyna nie obejrzała się. Zastukały obcasy na betonowej ścieżce. Młody człowiek cofnął się. Błysnęła szyba, gdy zamykał drzwi.

W chwilę potem znalazłem się w holu. Dwa psy powitały mnie radośnie. Ten duży, przypominający doga, wspiął się i położył łapy na moich ramionach. Znów przez chwilę klepałem psie karki, brzuchy, tarosiłem uszy.

Mężczyzna w białej koszuli stał odwrócony za rozłożystą palmą - patrzył przez szklaną ścianę na ścieżkę, którą pobiegła Marzena. Nie odezwał się do mnie, ale domyśliłem się, kim jest. Na końcu korytarza, na pierwszym piętrze, gdzie dostałem pokój, były drzwi z tabliczką „Kierownik”. Niżej podane godziny przyjęć interesantów (zapewne wczasowiczów). Oczekałem chwilę i odezwałem się pierwszy:

- Dzień dobry! Miłe pieski.

- A tak, tak - odwrócił się. - Lubią naszych gości. Do wszystkich się łąszą.

- Jak masz na imię, stary? - zwróciłem się do olbrzyma, a kierownik, za moimi plecami, odpowiedział:

- Rambo, Rambo, oczywiście.

Zaśmieliśmy się. Potem poszedłem na górę.

*

Nazajutrz. Dziś Mirka stanęła mi w oczach jak żywa. Gdy jadłem obiad w restauracji „Fregata” - gdzieś między portem (do którego postanowiłem pójść w ciągu najbliższych dni) a starą osadą, z domem Lachowiczów i stacją benzynową nad łąkami. Tu, w tej okolicy, w pięćdziesiątym drugim była knajpa „Pod fregatą”. Wieczorami chodziliśmy na dancingi. Zwykle gromadą: rówieśnicy z plaży, znajome dziewczyny - z Łodzi i Warszawy, studenci. Kiedyś, jedyny raz, namówiłem Mirkę, żeby poszła z nami. W zadymionej sali na podium grała orkiestra. Pamiętam harmonistę, skrzypka i wielki bęben z talerzami. Tę orkiestrę słyhać było z daleka. Co chwilę odzywała się trąbka - może saksofon? Grali stare tanga, walce, fokstroty. Grajek w koszuli lub marynarce w kratę - łysy i spocony - śpiewał, co pewien czas przerywając grę na trąbce. Miał chrypę, poza tym ciągnął długo samogłoski, gdy śpiewał: „Jest jedno słońceee, co jasno świeciiii...” Albo: „Jak morfinaaaa, zatrulaś serce mojejee...” I tak dalej. Jego długie „i”, „o”, „e” słyszę do dziś.

Tańczyliśmy koło podium, zadzierając głowy. Łysy śpiewał pochylony, wpatrując się w oczy najbliższej tańczącej dziewczyny: „Skradłaś serce mee, jak to się stało...?”

Mirka tańczyła na wysokich obcasach. Pożyczonych od matki lub od ciotki, która często zachodziła do Lachowiczów. A może stryjenki, bo podobnej do bosmana - chudej i wysokiej? Pani Zofii, jeśli dobrze pamiętam.

Tańczyliśmy przytuleni. Pamiętam zapach czerwonej bluzki, skropionej wodą kwiatową. Włosy dziewczyny łaskotały policzek. Naokoło kołysały się inne pary. Spoczone twarze, szuranie nóg. Tango, tango, a potem nagle szybki rytm: „Na pewno nie wie nikt, co znaczy tiko-tik...” I jeszcze: „Fala falę, fala falę goni...” Sala ożywia się. Przez otwarte okna wpadają podmuchy znad Zalewu. A my tańczymy coraz prędeej, wzniesając kurz z desek, tupiąc głośno. Łup-łup, tup-tup! Saksofon, trąbka, brzęk talerzy. I łysy solista: „Pusto w naszej starej, dobrej sieci, rybia łuska srebrem się nie świeci...” Potem znów zawodzi saksofon, wtórują skrzypce. Tańczymy ostatnie tango: „La Cumparsita”.

W przerwach piliśmy oranżadę, stłoczeni przy chybottliwych stolikach. Jedliśmy tortowe ciastka z różowym kremem. Eklerki, napoleonki, bajadery. Nie było pieniędzy na wino. O północy powrót pod gwiazdami - pustą drogą. Ciemne domy na skarpach, sosny.

Mirka szła kuśtykając - cienkie nogi ugiwały się w kostkach, nie przywykłe do wysokich obcasów. Zostaliśmy daleko za gromadą znajomych. Trzymałem jej małą dłoń, gdy schyliła się, żeby zdjąć pantofle. Dalej szła boso. - Wiesz, piasek na drodze jest ciepły - powiedziała.

Pomyśl, pięćdziesiąt lat minęło, a ja pamiętam tamten wieczór, gwiazdy, wiatr od Zalewu, szczekanie psów. Knajpianą orkiestrę. Nawet to, że piasek na drodze był ciepły.

*

Trzeci dzień. Leżę na wersalce - znów patrzę na lampę. Czerwona plama pod powiekami. Jak było, zastanawiam się, jak mogło być, gdy dziecko Mirki biegało wokół domu pod sosnami? Jeśli dziewczynka, to czy szybko nauczyła się chodzić? Czy długo pęzała, jak jej ciotki - bliźniaczki - po trawie pełnej gęsiich odchodów, kamieni i szkła?

Mogło przecież tak być: podchodzę cicho, biorę małą na ręce. Unoszę, jak kiedyś ciebie - podrzucam wysoko. Potem robimy karuzelę: szybko obracam się w miejscu. Mała zanosi się śmiechem. Mirka staje na progu:

- Uważaj, jeszcze jej zrobisz krzywdę!

Bosman siedzi pod sosną w gimnastycznej koszulce, opalona szyja, białe ramiona. Pali sporta, mrużąc oczy. Krzywi ptasią twarz. Na ramieniu tatuaż - niebieska kotwica. Patrzy na mnie. A ja? Trzymam dziecko na rękach. Bose stópkki zawałane piaskiem. Niebieskie oczy.

Jakie dano jej imię? Zosia, Hania, Marysia?

*

Rano poszedłem na cmentarz. Dziewczyny z recepcji powiedziały, jak mam iść.

- A kogo tam pochował? - spytała młodsza.

Niska, pulchna, ze złotymi kolczykami w uszach.

„Śmieszka”, jak ją przezwałem. I teraz parsknęła śmiechem, patrząc na koleżankę - chudą, brzydszą, z podkrążonymi oczami. Trzeciej - Marzeny, która uciekała przed kierownikiem - nie było. Chuda patrzyła na mnie bez uśmiechu.

- Chcę poszukać grobu znajomej - powiedziałem.

- Jak się nazywała?

- Mirosława Lachowiczówna - wyjaśniłem.

I zaraz pomyślałem: „Po co to mówię?”. Jeśli pamiętają Lachowiczów - czy ta informacja nie wzbudzi zainteresowania? Może znają kobietę zza furtki?

Ale chyba nazwisko nic nie mówiło. W każdym razie Śmieszka już nie pytała dalej.

Dzień był słoneczny. Idąc drogą, patrzyłem na Zalew. Przypomniałem sobie kąpiele w ciepłej wodzie, późno - przy księżycu. Wypływałem przecinką między szuwarami na otwartą przestrzeń. Płynąłem powoli, krytą żabką, po księżycowej drodze. W ciszy, w stronę świateł Tolkmicka. Mirka czekała w pękatej łodzi. Kiedy wracałem, podawała ciepły ręcznik.

Wracaliśmy boso, po mokrej łące. W kuchni pani Basia smażyła ryby. Niekiedy placki ziemniaczane. Pachniało olejem. Braliśmy gorące placki palcami, z fajansowego półmiska.

Czasem szliśmy nad morze - najczęściej po upalnym dniu. Wchodziliśmy do wody po ciemku, brodząc na płycznach. Staliśmy długo, trzymając się za ręce, w miejscu, gdzie małe fale dotykały stóp. Księżyc świecił nad lasem, za plecami. Mirka bała się wchodzić głębiej. Płynąłem sam, a kiedy odwracałem się, nie widziałem dziewczyny. Tylko ciemne wydmy, wyżej sosny, księżyc. Wracałem powoli. Na piasku czekał ręcznik.

*

Stary cmentarz w lesie, wśród drzew. Nowy bliżej asfaltowej drogi - na otwartej przestrzeni, i tam dużo jałowców, cisów. Tuje. Szare groby. Najwięcej płyt z lastriko. Także kopce uformowane z ziemi, porośnięte trawą. Krzyże żelazne, drewniane, ciosane z kamienia. Kilka białych - brzoźowych. Chodziłem po szerokich i wąskich ścieżkach, szukając grobu Mirki. Przystawałem, schylony, czasem kucałem, odczytując inskrypcje. „Śp. Cecylia Piątek z domu Lewandowska, zmarła 24 marca 1973 roku. Niech spoczywa w pokoju”. „Bóg tak chciał”. Ktoś prosił o „Zdrowaś Mario”. Weronika, Stanisław, Bogumił Bednarek. Antoni, Jerzy, Regina. Rodziny Krawczyków, Kowalskich, Leśniewskich, Cytryckich,

Chmielewskich, Kwiatków. Znalazłem grób Lachowiczów - Jana i Barbary. Bosman zmarł w 1969, pani Basia w grudniu osiemdziesiątego dziewiątego. Przeżyła męża o dwadzieścia lat. Klęczałem z pochyloną głową. Powiał wiatr. Z brzozy obok posypały się liście. Szelest suchych traw. Dziwne wrażenie: poczułem zapach morza - łodzi, piasku, martwych ryb. Zdawało mi się, że słyszę szum.

Później znów szukałem grobu Mirki. Krążyłem po wszystkich ścieżkach, bliżej i dalej od grobu Lachowiczów. Wyszedłem spod sosen - szukałem na otwartej przestrzeni. Obszedłem nowy cmentarz, stopniowo kierując się do środka. I tu nigdzie nie pochowano Mirosławy. Nie znałem nawet jej nazwiska. Szukałem imienia. Miałem nadzieję, że będzie podana data urodzenia, nazwisko panieńskie. Ale na szarych płytach wyryto same obce nazwiska. W słoikach z brązową wodą na dnie usychały goździki i róże. Stare wiązanki oparte o krzyże. Więdy aksamitki i nasturcje. Nigdzie nie było grobu Mirki.

Pamiętam, że - znużony - usiadłem na ławce, przy grobie Kwiatkowskich lub Grabowskich.

Pośrodku płyty dopalał się znicz w glinianym kubku. Patrzyłem w głąb pustego cmentarza. To wtedy, nagle, wydało mi się, że widzę starą kobietę. Siedziała na ławeczce, trochę dalej. Widok zasłaniały gałęzie brzozy poruszane wiatrem i krzak jałowca. Postać tej kobiety ukazywała się i znikła na przemian. Była w czerni, jak opiekunka chłopca z zespołem Downa. Czarna chusta na ramionach, czarna spódnica. Siwe włosy. Długo patrzyłem, jak kołysze się gałąź brzozy i jak kobieta pokazuje się i znika. Wstałem w końcu i poszedłem w tamtą stronę, ale na ławce pod brzozą, za jałowcem, nikt nie siedział. Ta ławeczka, odsunięta od krawędzi płyty. Nie było żadnej kobiety. Rozejrzałem się. Ścieżki naokoło puste. Nikogo.

Idąc tu kupiłem zapalki i dwa znicze. Teraz postawiłem jeden na grobie, przy którym - jak mi się zdawało - siedziała postać w czerni. Ukląknę, żeby odczytać inskrypcję: „Śp. Majewska Bogumiła, zmarła 21 stycznia 1995 roku w wieku 87 lat”. Niżej wyryto: „W Panu nadzieja na zmartwychwstanie”.

Drugi znicz zapaliłem na grobie Lachowiczów. Opuściłem cmentarz w południe.

*

Potem długi spacer drogą przez osadę - aż do ostatnich domów. Szedłem obok poczty, szkoły, stacji benzynowej. Zatrzymałem się koło pnia ściętego dębu. Postąłem tu kilka minut, patrząc na zmieniony dom, który tak dobrze pamiętałem. Znowu zastanawiałem się, czy nie pójść tam teraz - stanąć przed furtką, dzwonić, prosić o rozmowę? Zacząłem liczyć do stu. Kiedy kończyłem - zaczynałem od początku. „Skończę i pójdę, pójdę”, myślałem. Przejechało

kilka samochodów, autobus, zapewne z Gdańska. Dom Lachowiczów znikł, przesłonięty na chwilę. Słyszałem, jak blisko szczeka pies - może tamten kundelek zza płotu? W końcu poszedłem dalej.

Za ostatnim domem skręciłem na ścieżkę w stronę plaży. W październikowym słońcu las, ten bliski - z jednej strony podchodzący do domów, z drugiej do wydm - wtedy ogromny jak puszcza, teraz wydał mi się mały, mniej zielony i nie tak gęsty. Sosny skarłały, nie było brzoź. Po upływie półwieku wędrowałem przez inny las.

Ścieżki, dróżki w tym lesie! Ileż ich było? Ile razy w ciągu dnia biegałem z domu Lachowiczów na plażę! Tam i z powrotem, tam i z powrotem! Szeroką drogą do łódek lub ścieżką wśród sosen, utykając, gdy bosą stopą nadepnęło się na szyszkę. W dół, w dół - do morza.

Czasem wieczorami chodziliśmy dróżką, przy której rosła rajska jabłonka. W sierpniu małe jabłuszka czerwieniały, ale i tak były gorzkie i cierpkie. Blżej wioski, za drogą ze spróchniałych bali, słyhać było szczekanie psów. Czuliśmy zapach dymu. Sosny uciekały w górę - na skarpy. Wychodziliśmy przed dom.

Szedłem teraz przez inny las, innymi ścieżkami, pod innym niebem. Przed wydmami, niedaleko morza, były tory kolejki wąskotorowej z Gdańska do Królewca. Czynnej za czasów niemieckich. W latach pięćdziesiątych leżały tu jeszcze żelazne podkłady i szyny. Karłowate sosny rosły na skarpach po dwóch stronach dawnej trasy.

Zbiegłem na plażę i poszedłem na wschód - w stronę rybackiej przystani i mojego Ośrodka. Było pusto. Słońce zachodziło za pas chmur. Morze niespokojne - wiał zachodni wiatr.

Stawałem czasem, żeby spojrzeć za siebie, a wtedy widziałem biegnącą od stóp, aż hen, po horyzont, czerwoną drogę. Fale rozlewały się z szumem. Im dalej od brzegu, tym więcej białych grzebieni.

Po godzinie doszedłem do łódek podciągniętych wysoko, aż pod wydmy. Zapewne obawiano się sztormu. Z daleka dostrzegłem człowieka siedzącego na krześle. Skręciłem w jego kierunku i chwilę szedłem wśród zarysów dołów, depcząc po patykach, omijając deski i na wpół przysypane piaskiem skrzynki. Zatrzymałem się kilka kroków od niego, obok żółto-czarnej łódki. Był stary - siwe włosy wymykały się spod granatowej czapki, jakie zwykle noszą rybacy. W nieprzemakalnej kurcie - szarej, przypominającej pelerynę. Stopy w płótkich kaloszach. Wełniane skarpety, jak sztylpy. Dłonie trzymał na lasce wsuniętej między kolana. Siedział nieruchomo na koślawym krześle i patrzył na morze. Podszedłem blisko, ale nie zauważył mnie. Nie odwrócił głowy. Odczekałem chwilę.

- Dzień dobry, zdaje się, że będzie sztorm - powiedziałem.

Dopiero wtedy spojrział - uśmiechnął się i kiwnął głową. Siwy zarost, pomarszczona skóra na twarzy, bruzdy. Niebieskie oczy miał załzawione od wiatru.

Znów odczekałem chwilę.

- Będzie sztorm, prawda, proszę pana? Coraz mocniej wieje.

I tym razem nie odezwał się. Nie słyszał czy nie rozumiał? Pomyślałem, że warto go zapytać o Lachowiczów - musiał ich znać, pamiętać. Był dostatecznie stary. Schyliłem się i powiedziałem głośniej:

- Może pamięta pan bosmana Lachowicza? Jego żona miała na imię Barbara. Żyli tu w latach pięćdziesiątych.

Patrzył na mnie trochę dłużej, jak mi się zdawało, ale znów nie odpowiedział. Uśmiechnął się, potarł dłonią załzawione oko. Nic.

Stałem przy nim kilka minut. W pewnej chwili miałem ochotę chwycić go za ramię, potrząsnąć. Mówiłem coraz głośniej, przekrzykując wiatr:

- W pięćdziesiątym trzecim bosmana i kilku rybaków zniosło na ruski brzeg. Pamięta pan? Wzięli ich za szpiegów!

Znów tylko spojrzenie, uśmiech. Cisza. Może był podejrzliwy? Zastanawiał się, skąd nagle wzięłem się przy nim - obcy człowiek?

A ja dalej zadawałem chaotyczne pytania. Ciągle miałem nadzieję, że się odezwie, że zacznie mówić. Powie, że pamięta, że znał Lachowiczów. Mówiłem o Mirce, o tym, że miała córkę, a teraz jej córka ma córkę. Że mieszkają w domu niedaleko starego dębu, który wycięto. Na pewno pamięta ten dąb! I tak dalej, i tak dalej.

Milczał, uśmiechał się, pocierał oczy guzowatą dłonią. W końcu przestał zwracać na mnie uwagę - siedział jak przedtem, nieruchomo, i patrzył na morze.

I ja w końcu zamilkłem. Patrzyłem, jak coraz większe fale suną do brzegu. Wiało silniej.

Potem, nagle, przyszła jego córka lub synowa - stanęła obok. Zaskoczyła mnie. Nie usłyszałem szelestu jej kroków na piasku. Mogła mieć pięćdziesiąt lub więcej lat. W czerwonej chustce, czerstwa twarz. Kosmyki włosów na czole, oczy niebieskie - jak u ojca.

- No, czas wracać - powiedziała. - Mietek czeka przy samochodzie.

- Dzień dobry - ukloniłem się. - Chciałem porozmawiać z ojcem, ale chyba źle słyszy.

- On już nie rozumie, co do niego gadają.

- Spojrzała na mnie. I głośniej, do starego:

- Idziemy. Dość się nasiedział.

Stary zaczął się podnosić - pomagał sobie laską, sapał, chwiał się nieporadnie. Krzesło z wklęsłym oparciem z dykty miało na siedzeniu wytarty wzór. Kobieta chwyciła je lewą ręką, prawą ujęła ojca pod ramię. Zaczęli odchodzić w stronę przejścia na wydmie.

Stałem patrząc za nimi. Gdzieś wyżej czekał chłopak, którego stąd nie było widać. Usłyszałem, jak kobieta zawołała:

- Mietek, chodźże tutaj! Pomożesz!

Ale syn lub brat nie pokazał się.

Byli coraz dalej. Cierpliwie szli pod górę. Szara kapota, czerwona chusta. Stare krzesło chybotąło się nad piaskiem. Czasem kobieta ciągnęła je za sobą, rysując bruzdy. Znikli na wydmie.

*

Już piąty dzień mieszkam w tym obskurnym pawilonie. Zapach linoleum na korytarzu, wilgotnej pościeli w pokoju, klozetu. Wieczorem leżę pod lampą, rozmyślam. Wracają pytania: po co? Czy warto?

Wczoraj twoja matka wykrzyczała, że jestem egoistą:

- Zawsze taki byłeś! Nie kochałeś mnie, tylko siebie! Wszystko robiłeś dla swojej wygody, dla kariery! Ja i nasze dziecko byliśmy na ostatnim planie!

Może ma rację? Tylko jaka to kariera, Jacku? Pomyśl. Złoty Krzyż Zasługi na czterdziestolecie PRL-u? Kilka wygranych spraw przed komisjami i w sądach? Emerytura i wspomnienia? To prawda, mamy dom za miastem, ale pieniądze, jak wiesz, przyszły raczej z boku, ze spadków. Po rodzicach, ciotkach, krewnych Olgi. Przykro o tym mówić. Matka potrafi zranić boleśnie.

Poznaliśmy się w pięćdziesiątym czwartym. Mój Boże, zaledwie dwa lata minęły od chwili, gdy Mirka napisała swój pierwszy list. Jej świat i nasz świat były takie inne! Twoja babka pytała, gdy wspominałem o sympatiach (czy pamiętasz - tak nazywaliśmy dziewczyny, z którymi spotykaliśmy się na randkach), z jakiego jest środowiska? Z jakiego domu? Kim są rodzice? I tak dalej.

Wtedy, po wojnie, gdy krajem rządili ludzie nasłani z Moskwy, w naszych domach przestrzegano jeszcze tak zwanych zasad. Ojciec Olgi był oficerem przed trzydziestym dziewiątym. W czterdziestym piątym wrócił z oflagu. Dziadek Henryk był naukowcem, przyrodnikiem, pracował w instytutach, wykładał na SGGW. Zresztą, po co ci mówię - to znane sprawy. Nasi rodzice należeli do ostatnich Mohikanów Polski przedwrześniowej. Do tych nielicznych, których Niemcy i Rosjanie nie zdążyli zabić. Tak, tak: powiesić, rozstrzelać, wysiedlić, wywieźć, zagłodzić. Twoi dziadkowie nie leżeli w katyńskim lesie. Babki nie

umarły z głodu w Kazachstanie. Nie zginęły pod gruzami Warszawy w czterdziestym czwartym. Dziadek AK-owiec przeżył. I tak dalej, i tak dalej. Same szczęśliwe przypadki. Czy było miejsce wśród nas dla nietrzeźwego Lachowicza, z kotwicą wytatuowaną na ramieniu? Dla rozczochranej Mirki? Nie mówię tego w złej intencji, broń Boże. Chodzi o fakty. O tę przepaść, nad którą z jednej strony stałem ja - z drugiej ona. Byliśmy skazani na życie osobno. Pomyśl o tym, postaraj się zrozumieć. Odpowiadam na pytania, których już od ciebie nie usłyszę.

W czterdziestym dziewiątym wrócił z Workuty stryjeczny brat dziadka Henryka - stryj Bolek, jak go nazywaliśmy w rodzinie. Także były AK-owiec, wywieziony przez Rosjan w czterdziestym piątym. Pamiętam dzień jego powrotu. Przyszedł na Rakowiecką, do mieszkania rodziców. Brodaty mężczyzna w starym waciaku, w podartym swetrze i spodniach z szarego drelichu. Kiedy go wywieźli, ciotka Anna z dwójką młodszych dzieci przeniosła się do Opoczna. Antek przyjechał do nas - chodziliśmy do tej samej szkoły na Raszyńskiej - on rok wyżej. Wtedy zwolnili nas z lekcji. Antoni pierwszy raz zobaczył ojca po czterech latach. Nie wiedział, czy żyje. Ja zapamiętałem muśnięcie brody, kiedy zesłaniec uniósł mnie i pocałował. Pachniał Rosją, jak powiedziała babka Jadwiga.

O czym rozmawiali dziadkowie ze stryjem Bolkiem? Co opowiadał o łagrach, o Kraju Rad? Czy mówił, jak w czterdziestym piątym wieźli ich w towarowych wagonach na wschód? W czasie mrozów, przez stepy zasypane śniegiem? Jak zostawili na pustkowiu? Jak potem wycinali lasy, kopali węgiel, rudę, kładli tory donikąd? I tak dalej, i tak dalej. Znane życiorysy.

Jedno mogę powiedzieć: widziałem powrót zesłańca. W naszych rodzinach, mój drogi, przez cały wiek dziewiętnasty i połowę dwudziestego nasi dziadowie, ojcowie, wujowie, stryjowie wracali z zesłania, z obozów, łagrów, łagrów. Z więzień, z transportów. Jeśli udało im się uciec i jeśli przeżyli, oczywiście. Taki był nasz świat.

*

Znów spacer drogą przez wieś. Przed stacją benzynową wszedłem do małego sklepu z myślą o kupieniu bułki lub paczki herbatników. Soku z czarnych porzeczek. Nagle poczułem głód.

W tym sklepiku pachniało jabłkami - skrzynki z owocami spiętrzone przy drzwiach. Przy ladzie stały dwie dziewczynki dwunasto- lub trzynastoletnie. Rozmawiały ze sklepową - tęgą kobietą w białym fartuchu. Kupowały chleb, cukier, masło. Zadomowione, jak się zorientowałem - pewno codziennie przychodziły z sąsiedztwa. Czekałem, stojąc za plecami wyższej dziewczynki - chudej, na patykowatych nogach, w różowym swetrze. W zbyt dużych

adidasach i z grzywą jasnych włosów, przypominających fryzurę afro.

W pewnej chwili zaczęła szeptać do koleżanki - niskiej, w starych dzinsach na szelkach:

- Ty, Aśka, pożycz dwa złote. Zabraknie mi. Pożycz.

- Nie mam - odpowiedziała tamta głośnym szeptem, na co wysoka, jakby nie dowierzając:

- Pożycz, Aśka, no pożycz!

- Nie kłócić się - odezwała się sklepikarka.

- Twoja matka odda, jak zabraknie! - I zaraz głośniej: - No, zabierajcie się dziewczyny. Jeden pan za wami czeka!

Chyba dopiero wtedy zorientowałem się, że chuda dziewczynka w za dużych adidasach to córka kobiety, z którą rozmawiałem pierwszego dnia. Teraz wybiegła szybko za niską koleżanką.

Kobieta za ladą była pewno zaskoczona moim zachowaniem: odwróciłem się i wybiegłem za nimi - na próg, gwałtownie szarpiąc drzwiami (stuknęły o ścianę). Omal nie krzyknąłem: „Dziecko, zaczekaj!”, ale obie były już daleko. Odjechały na rowerach, których idąc tu nie zauważyłem. Stały zapewne oparte o płot, kilka kroków dalej. Patrzyłem przez chwilę, jak dziewczynka z ganku, mocno naciskając na pedały, przejeżdża na drugą stronę drogi. Później, kolebiąc się, jechała już wolniej, poboczem. Minęła stację benzynową, trakt nad morze i skręciła w stronę domu na wzgórzu. Mniejsza - grubaska - została po drugiej stronie. Jadąc, coś do siebie wykrzykiwały, póki gruba nie skręciła na ścieżkę naprzeciw stacji benzynowej.

Wróciłem po herbatniki.

Po południu byłem w kościele. Odkładałem tę wizytę, spodziewając się kłopotów - pytań, niechęci. Złego wrażenia, niedobrego samopoczucia. Trzeba ufać intuicji. Ksiądz, z którym wdąłem się w rozmowę, okazał się gburem. Nie waham się użyć tego słowa. Potraktował mnie prawie jak przestępcę. Po co w ogóle tam poszedłem? Naprawdę tylko po nowy powód do irytacji - do stresu, do skoków ciśnienia, które odczuwam ostatnio, zwłaszcza w skroniach! Ale mniejsza o samopoczucie. Chodzi o mur, jaki napotkałem.

Wracając ze spaceru, skręciłem za łódkami, nie dochodząc do przejścia w stronę mego Ośrodka. Pamiętałem, że tutaj, bliżej morza, był kościół. I teraz wieczorami słyszałem bicie dzwonu. Nie pomyliłem się: stał, jak w latach pięćdziesiątych - wśród sosen, za niskim murem. Odnowiony, biały (wówczas z czerwonej cegły), z dzwonnica obok i drewnianym krzyżem na dziedzińcu. Pod murem kwiaty - dalej, dużo nasturcji. Wszystko jeszcze w

słońcu, przeświecającym przez korony drzew. Dwie kobiety w szarych fartuchach pielili rabaty, klęcząc na ziemi. Spytałem o księdza - pokazały budynek plebanii obok. Rozmowę z nim spisałem zaraz po powrocie, na kartce wyrwanej z zeszytu. Do dziś zresztą pamiętam każde słowo. Trudno zapomnieć.

- Dzień dobry - powiedziałem, stając w progu dość obszernego pokoju.

To zwyczajne pozdrowienie okazało się błędem, ponieważ ksiądz (zapewne proboszcz), odwracając się szybko od parapetu okiennego, nad którym stał pochylony (zdaje się, że czytał gazetę), odezwał się ostrym tonem:

- Nie zna katolickiego powitania?

- Jestem człowiekiem niewierzącym - wyjaśniłem, licząc na minimum tolerancji.

Ale nie był tolerancyjny. Popełniłem drugi błąd. Zapadło milczenie. Ten człowiek patrzył na mnie przez chwilę, jakby zobaczył wysłannika szatana. Wcielenie zła. Zapewne nikt jeszcze nie odezwał się w ten sposób do niego. Uśmiechnąłem się, ale nie odwzajemnił uśmiechu. Otyły, łysiejący mężczyzna po sześćdziesiątce. Okrągła twarz, trochę obwisłe policzki. Był w beżowej kamizeli, nie dopiętej na brzuchu. Pod kamizelą sutanna - chyba poplamiona i pocerowana.

- Chciałem prosić księdza o informację - powiedziałem po chwili. - Sprawa jest delikatna.

Teraz wiem, że niepotrzebnie to wszystko mówiłem. Należało od razu odwrócić się i wyjść. Wiedziałem już, że odmówi - co gorsze, spodziewałem się, że może mnie obrazić i upokorzyć. Nie zapraszał do środka (ciągle stałem w progu), nie poprosił, żebym usiadł, chociaż koło biurka stało kilka krzeseł. Pozostał przy oknie - ja przy drzwiach.

- O co chodzi?

- Chciałem zajrzeć do ksiąg parafialnych z lat pięćdziesiątych. Ubiegłego wieku, oczywiście.

- Po co?

- Chcę odnaleźć świadectwo chrztu pewnej parafianki księdza. Kobiety z tej miejscowości. Urodziła się w maju pięćdziesiątego trzeciego roku.

- Czyje to dziecko?

Teraz ja zamilkłem. Czy miałem powiedzieć, że mogę być ojcem? Zawahałem się. Musiał zauważyć to wahanie.

- Więc o co mu chodzi? - spytał głośniejszym głosem.

- Być może to moje dziecko. Nie mam pewności - powiedziałem.

- A wtedy też nie był pewien?

- Kiedy?

- Wtedy, gdy grzeszył! W roku pięćdziesiątym drugim, czy tak?

- Proszę księdza, patrzę na tę sprawę inaczej. Moja córka, jeśli jest moją córką, ma teraz pięćdziesiąt lat. Jej matka nie żyje. Ja sam zbliżam się do siedemdziesiątki. Może ludzkie grzechy również ulegają przedawnieniu? Tak jak przestępstwa? Mam nadzieję, że Pan Bóg jest bardziej wyrozumiały, niż my. W roku pięćdziesiątym drugim mieliśmy po siedemnaście lat. Byliśmy dziećmi.

- Nie - powiedział stanowczo. - Grzechy się nie przedawniają. - I po chwili: - A w ogóle po co odgrzebywać sprawę? Jeśli córka ma pięćdziesiąt lat, żyje tu od zawsze, a pan, człowieku, chce jej dopiero teraz o tym powiedzieć? Po co, pytam? Bo nagle przypomniał sobie, że kiedyś zgrzeszył, tak?

Milczałem.

- Miała pewno przybranego ojca. Miała czy nie?

- Nie wiem - powiedziałem. - Być może.

- Nie! Nie udostępnię ksiąg. Niech nawet nie wymienia nazwiska. Nie chcę wiedzieć!

- Mówił to wszystko coraz głośniejszym głosem. Chyba zaczął krzyczeć.

Stałem jeszcze chwilę w drzwiach. Na parapecie za nim widziałem paprotkę. Zielona plama na tle okna. Po upływie minuty lub dwóch odwróciłem się i wyszedłem bez pożegnania.

Później - trzęsąc się ze zdenerwowania - rozmyślałem długo o tej rozmowie. Już w nocy, po zgaszeniu światła, przyszło mi do głowy, że miał rację. Czy nie chcę tych wyjaśnień dla własnego spokoju? Z powodu tak zwanego sumienia, jeśli sumieniem jest niepokój? Stres, skoki ciśnienia? Po co to wszystko? I tak dalej, i tak dalej. Goniłwa myśli.

*

Rano, wyglądając z namydloną twarzą z łazienki, podsłuchałem rozmowę dwóch kobiet na korytarzu. Zdaje się, że sprzątały pokoje przed zimą - zbierały pościel, koce, zdejmowały zasłony z okien.

O wpół do ósmej zbudził mnie szum odkurzacza.

- Marzena nie usunie - powiedziała ta bliżej drzwi. - A on pewno by chciał, jej kochanek.

I druga, trochę dalej:

- Jasne, że by chciał. A na co mu kłopot? Żona, córeczka, synek, a tu na boku dzieciak! Masz pojęcie?

Ta za drzwiami zaśmiała się:

- Głupia! Lecą na chłopą, pierwszego lepszego, a potem wszystko nie tak! Czego się spodziewała?

- Pani Halinka na pewno się dowie - głos tej z oddali. - Ja bym takiego przegoniła. Zabieraj klamoty i wynocha! No nie?

- Głupia, głupia - słyszałem za drzwiami. - Chodzi teraz i płacze. Nie wiedziała?

- Czasem dziewczynie wszystko jedno. Jak pokocha, to żadne tłumaczenia nie pomogą. Nic.

- Może i tak - zgodziła się pierwsza.

Włączyła odkurzacz. Nie słyszałem dalszej rozmowy.

Piłem herbatę, zagryzałem suchą bułką i myślałem o dziewczynie, która niedawno biegła betonową ścieżką. Czy rzeczywiście było jej wszystko jedno? Co się stanie z niechcianym dzieckiem kierownika?

Przed południem poszedłem nad morze. Kundel z przetrąconą łapą, jak codziennie, odprowadził mnie do wydm. Niezwykłe: już połowa października, a pogoda jak latem. Tylko słońce bardziej zamglone, bledsze niebo, morze popielate. Przed wydmami zdjąłem tenisówki i zacząłem iść pod górę boso, po zimnym piasku. Pies został na ścieżce.

Nie odchodziłem daleko. Usiadłem na rozłożonym ręczniku, opierając się plecami o pień wyrzucony na brzeg. Patrzyłem na morze. Podmuchy wiatru na twarzy. Krzyczą mewy. Szum fal był przytłumiony, jakby z oddali. Musiałem się zdrzemnąć - biała czapka spadła z głowy, leżała na piasku obok. Ocknąłem się w chwili, gdy usłyszałem głosy - rozmowę, śmiech.

Gromada kobiet biegła gęsiego tuż nad brzegiem. Podskakiwały i wymachiwały rękami. Prowadził grupę mężczyzna w czerwonym dresie. Kobiety powtarzały jego ruchy - skakały raz na jednej, raz na drugiej nodze. Naśladowały wymachy ramion, skłony, przysiady. Były w różnym wieku, ale wszystkie wydawały się tęgie. W różnokolorowych spodniach i swetrach, w granatowych i czarnych legginsach opinających biodra. Młode i stare, siwe, brunetki, blondynki.

Niedaleko od miejsca, gdzie siedziałem, skręciły znad brzegu i stanęły kołem pośrodku plaży. Przyglądałem się, jak ćwiczyły skłony z wymachem rąk - raz lewej, raz prawej. Przysiady, pompki.

- Raz-dwa, raz-dwa! - wołał mężczyzna w czerwonym dresie. Stał pośrodku koła.

Widziałem piersi trzęsące się nad piaskiem, wypięte pośladki. Błyski bransoletek i zegarków. Czerń, biel, zieleń. Przypominało to grę kolorowych szkiełek w kalejdoskopie.

- Nie oszczędzać się, nie pieścić! - wołał trener. - Raz-dwa, raz-dwa, szyb-ciej, szyb-

ciej! Ko-cha-ne!

Zapachniało kremem nivea, ale zaraz ten zapach zdmuchnął wiatr. Jedna i druga o coś pytały, trener odpowiadał. Nie słyszałem słów. Po pięciu minutach, na komendę „Biegniemy!”, ustawiły się jedna za drugą i wróciły na brzeg. Powoli zaczęły się oddalać - biegły gęsiego, truchtem, podskakując i wymachując rękami. Coraz dalsze głosy, mniej wyraźne, cichszy śmiech. Szum morza, mewy. W końcu widziałem tylko kolorową plamę poruszającą się daleko. Za łódkami znikły z oczu.

Trochę później zbiegło z wydmy dwóch chłopców. Mogli mieć po dziesięć lat. Jeden wyższy - chudy, w granatowej czapce bejsbolówce z długim daszkiem naciągniętym na oczy. Drugi mniejszy, być może młodszy. Obaj w bluzach - ten mniejszy miał naciągnięty na głowę kaptur. Starszy niósł latawiec z żółtego płótna lub papieru. Odeszli kawałek, w stronę łódek - widziałem, jak ostrożnie rozwijali sznurek, układali na piasku długi ogon z kolorowych kokardek. Potem mniejszy podniósł latawiec - uniósł nad głowę. Większy zaczął biec z rozwiniętym sznurkiem - pod wiatr. Potykał się na muldach piasku. W końcu odwrócił się i krzyknął coś do mniejszego - zapewne: „Puszczaj, puszczaj!”. Mały podrzucił latawiec, tracąc przy tym równowagę. Klęknął. Patrzyłem, jak żółty kwadrat, zawijając kolorowym ogonem, poleciał w górę i ciągnąc napięty sznurek, wzbijał się coraz wyżej i wyżej. Wiatr nim miotał, raz w jedną, raz w drugą stronę. Starszy chłopiec odbiegł daleko. Teraz zapewne rozwijał pośpiesznie linkę, podczas gdy latawiec szybował wysoko. Jasna plama na tle szarego nieba. Młodszy pobiegł w tamtą stronę - tak samo potykał się i zataczał. Podskakiwał zabawnie. Krzyczeli do siebie.

Patrzyłem na dwie małe sylwetki na tle plaży i ciemnego morza. Ten większy trzymał uniesioną rękę, ale sznurka już nie widziałem. Tylko żółtą plamę wysoko. I oni dwaj oddalali się powoli. Tak jak tamte kobiety przed kwadransem. Wyższy szedł tyłem, odwrócony. Młodszy, w kapturze spadającym na oczy, obok. Stawali się coraz mniejsi. Latawiec był już tylko żółtym znakiem na niebie. Zamknąłem oczy, a kiedy po paru minutach otworzyłem - już ich nie było. I plama na niebie znikła.

Wieczorem spytałem w recepcji, kim były kobiety, które ćwiczyły na plaży.

- Koło przystani jest pensjonat. Ogłaszają kursy dla grubych bab. Zawsze mają komplety - wyjaśniła Śmieszka i zaśmiała się głośno.

O chłopców z latawcem, oczywiście, nie pytałem.

*

Nad morzem przesiedziałem do późna, oparty o czarny pień. Pora na odpoczynek, chociaż Olga spytałaby na pewno, po czym. Myślałem długo o twojej matce. Tyle lat

jesteśmy razem. Czy byliśmy szczęśliwym małżeństwem? Nie wiem. Co to znaczy „szczęśliwe małżeństwo”? Przypomniałem sobie, jak Olga tańczyła z tobą na rękach. Miałaś rok lub półtora. Matka tańczyła pośrodku pokoju: „Krakowiaczek jeden miał koników siedem...”. Zaśmiewałaś się tak radośnie! Olga w luźnej spódnicy, chyba niebieskiej. Kiedy obracała się, spódnica frunęła w górę. Rozwijiała się jak wachlarz.

Poznaliśmy się na studenckiej zabawie, w „Czerwonej Oberży”, jak nazywano klub w podziemiach kamienicy przy Kruczej. Zatańczyliśmy kilka razy - byłem zachwycony. Matka zgodziła się na spotkanie, trochę zdziwiona, że o to proszę po dwóch lub trzech tańcach.

Spotykaliśmy się w różnych miejscach: na Placu Konstytucji, koło sklepu sportowego, na Starym Mieście, na Nowym Świecie. Pierwszy raz czekałem na peronie kolejki wąskotorowej na Belwederskiej. Olga wracała od znajomych - z Konstancina lub Skolimowa. Wtedy, w latach pięćdziesiątych, ta kolejka jeździła do Góry Kalwarii przez Wilanów, Jeziornę, Piaseczno. Wracała na Belwederską - tu, gdzie teraz rosyjska ambasada.

Prószył śnieg. Przeciskałem się przez tłum na peronie, zaniepokojony, czy na pewno przyjechała. Zobaczyłem Olgę z daleka, szła powoli, w jasnym płaszczu z wielbłądziej wełny. Szyję i głowę opatulila pomarańczowo-zielonym szalem w drobną kratę. Taki był początek. Pamiętam szal matki.

Chodziliśmy do kawiarni, do kina na radzieckie filmy. Wspominałem już o tym. Na zabawy, prywatki, do przyjaciół. Matka lubiła tańczyć. Po raz pierwszy pocałowałem Olgę pod murem kościoła ewangelickiego na Muranowie. Niedaleko mieszkania jej rodziców.

No, dość tych wynurzeń, wspomnień. Czasem myślę: lepiej nie pamiętać. Schować do szuflady, jak stare fotografie.

O szesnastej poszedłem na obiad. Wieczorem czekałem na telefon Olgi (umówiliśmy się, że będzie dzwonić na numer Ośrodka). Siedziałem przy stole, obok czarnego aparatu. Później spytałem nawet w recepcji, czy ktoś wcześniej nie dzwonił, ale nie. Nikt. Matka nie zadzwoniła.

*

Rano zbudziły mnie dzieci. Głośno tupiąc i krzycząc biegały po korytarzu. Byłem w łazience, kiedy wydało mi się, że ktoś puka - uchyliłem drzwi i wyjrzałem, trzymając namydlony pędzel. Kilkuletni malec usiłował zawrócić rowerkiem tuż za progiem - manewrował pośrodku korytarza.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Co słyhać?

Chłopczyk pośpiesznie zsunął się z siodełka, zostawił rower i podbiegł do dziewczynki, trochę starszej - zapewne siostry. Stała pod ścianą, kilka kroków dalej, z piłką.

Ta piłka, upuszczona, potoczyła się, podskakując, pod moje drzwi. Wysunąłem nogę w pantoflu i kopnąłem w stronę dzieci. Chyba w tym momencie, z dołu, usłyszałem wołanie:

- Jasiu, Edytka, śniadanko na stole!

Machnąłem pędzlem:

- Słyszycie? Mama woła.

Trochę później obecność dzieci na korytarzu wyjaśniła się: do kierownika przyjechała żona. W holu, na parterze, koło palmy, stał spacerowy wózek. Przed pawilonem te same dzieci bawiły się na trawniku. Brunet od Marzeny, jak nazwałem kierownika, i młoda kobieta w czerwonej bluzie spacerowali po ścieżce. Palili papierosy. Dwa psy hasały naokoło. Rambo usiłował porwać z rąk małej piłkę, którą chowała za plecami. Obracała się w koło, unosiła ręce.

- Tato, tato - wołała. - Powiedz mu!

*

Na plaży tak jak wczoraj: zachodni wiatr, zamglony horyzont, fale zacierają ślady. Pusto. Minąłem łódki, później - daleko - rozłożyłem ręcznik i położyłem się na wznak.

Idąc tu, znów minąłem opiekunkę chłopca z zespołem Downa. Siedziała, jak wtedy, odwrócona plecami do morza. Na czarnym pniu, podobnym do tego, przy którym wczoraj spędziłem pół dnia. Mały, w żółtej pelerynie, bawił się nad brzegiem. Obszedłem łukiem dół, który wykopał w mokrym piasku. Nawet nie spojrzał na mnie.

Chyba zasnąłem. Zbudziły mnie głosy, jak wczoraj grubych kobiet, ale dziś brzegiem szli znajomi z Ośrodka. Brunet od Marzeny pchał spacerowy wózek. Kobieta z chłopcem - kilka kroków za nim. Na końcu dziewczynka podrzucała piłkę. Rambo hasał naokoło - biegał wokół małej. I tu próbował porwać piłkę z jej rąk.

- Tato, on znów zaczyna! - usłyszałem.

Patrzyłem za nimi, póki nie odeszli daleko. Czerwony skafander, niebieska piłka. Płowy Rambo skacze wysoko. Coraz dalej, coraz mniejsza czerwona plama. Znów kładę się na wznak. Tylko niebo nad głową. Szum morza. Ziarenka piasku, gnane wiatrem, łaskoczą policzki.

O szesnastej zwinąłem ręcznik. Obiady jadam w pustej na ogół restauracji. Wybrałem „Fregatę”. Przypomina lata pięćdziesiąte. Siadam przy tym samym stoliku pod oknem - widać stąd kawałek Zalewu: szarą płaszczyznę wody i ciemną linię tamtego brzegu.

- Co dziś będziemy jedli? - pyta kelnerka podobna do pulchnej Śmieszki z recepcji.

Zamawiam smażonego sandacza, surówkę z marchwi. Herbatę. Jem długo, trochę zabijam czas.

O szóstej powrót ulicą nad łąkami. Dnie są coraz krótsze - o tej porze zapada zmierzch. Za mną i przede mną zapalają się latarnie. Na drugim brzegu mrugają światła w Tolkmicku. Jest cicho, sennie. Zaczyna padać deszcz.

*

Kiedy byłem niedaleko Ośrodka, minęło mnie dwóch żołnierzy w okrągłych czapkach z zielonymi otokami. Jeden wysoki, drugi niski - uśmiechnięci, czapki na bakier. Sprawiali wrażenie podpitych. Rozmawiali głośno - z daleka słyszałem wulgarne słowa. I zaraz przypomniałem sobie tamtych WOP-istów na plaży, w pięćdziesiątym drugim. Leżeliśmy z Mirką przykryci kocem, a oni podeszli do nas cicho. Jeden - ten wyższy, jak się później domyśliłem - kopnął mnie w bok podkutym butem. Nagle poczułem ból - siadłem na piasku, przestraszony. Nie wiedziałem, co się dzieje.

Zapewne myśleli, że się kochamy - że nas przyłapią, nagich i bezbronych. Ale my, po kąpielii w zimnym morzu, mokrzy, ogłuszeni hukiem fal (był sztorm), z gęsią skórką na ramionach i plecach, leżeliśmy tylko obok siebie, dygocząc. Za skrzynkami, które ustawiłem nad dołem.

Mirka usiadła obok. Pamiętam, że skrzyżowała ręce, osłaniając małe piersi. Tamci dwaj śmieli się. Wyższy - blondyn o niebieskich oczach - kucnął obok. Spod peleryny wystawała lufa pepeszy.

- Ładnie się bawicie, co? - powiedział. Być może użył wulgarnego słowa.

Niski chichotał obok.

Mirka krzyknęła:

- Czego chcecie? Wynocha! Wszystko powiem ojcu!

I śmiech, śmiech tamtych dwóch. Do dziś słyszę śmiech. Czuję tamten ból w boku.

Skończyło się zabawnie. Wysokiemu wiatr zdmuchnął czapkę. Zerwał się i pobiegł za nią niezdarnie. Biegając w ciężkich butach, potykał się i zataczał. Czapka turlała się w stronę morza, podskakiwała przed nim, uciekała. Dogonił ją i przydeptał na mokrym piasku - tuż przed cofającą się falą. Jego towarzysz poszedł w tamtą stronę - śmiał się, coś wołał, ale nie słyszeliśmy słów. Zwinęliśmy koc i pobiegli w stronę łódek i przejścia na wydmie. W stronę drogi przez las.

Dwaj WOP-iści zostali na plaży.

- Łobuz - mówiła Mirka - drań, chuligan. Wszystko powiem ojcu.

Bagatelizowałem sprawę:

- Zawsze taki się znajdzie.

Kiedy byliśmy niedaleko domu, spytałem:

- Znasz go?

- Ojciec go zna. Czasem przychodzi do nas. Przystawia się do mnie, ale sam widziałeś, co to za typ!

Powiedziała to wszystko ze złością. Więcej nie pytałem.

*

Tej nocy zmieniła się pogoda. Od rana deszcz, deszcz. Na Bałtyku sztorm. Plażę zalewają fale. Postąłem chwilę na wydmie, patrząc na morze pokryte po horyzont białymi grzywami. Ciemne chmury gnał zachodni wiatr. Wróciłem do pokoju i położyłem się na wersalce. Chyba zasnąłem.

Pod wieczór, gdy wracałem z obiadu, znów niezwykle spotkanie. Niedaleko Ośrodka zwróciłem uwagę na starego człowieka. Szedł z naprzeciwka, chwiejnym krokiem, tak jak wczoraj tamci dwaj żołnierze. Zapewne również podpity. W czarnej kurcie z łątą na rękawie, w spodniach wypchanych na kolanach. Zabłocone gumki. Na głowie czapka z czerwonej włóczki. Tę czapkę - czerwoną plamę na tle szarych drzew we mgle - zobaczyłem z daleka. „Miejscowy menel” - tak o nim pomyślałem.

Mżył deszcz, pod latarniami świeciły kałuże. A on człapał, w dziurawych na pewno gumiakach, nie zwracając uwagi na wodę. Nie spojrzał na mnie. Wydało mi się, że coś mamrocze do siebie.

W chwili, gdy był blisko, zza furtki posesji, którą mijaliśmy, wyrżał inny człowiek. Nie zobaczyłem twarzy. Mignęła siwa głowa.

- Ej, Lachowicz! - zawołał. - Pozwól na chwilę!

Przeszedłem kilka kroków i zatrzymałem się. Lachowicz! Oczywiście, że zwróciłem uwagę. Podeszedłem do płotu, nogę postawiłem na murku. Udałem, że poprawiam sznurowadło. W jednym bucie, w drugim. Co pewien czas, pochylony, patrzyłem na tamtych dwóch.

Stali przy furtce, zajęci rozmową. Słyszałem niektóre słowa: „wyjechał”, „wrócił”, „został” lub „zostawił”. Rozmawiali o kimś, kogo obaj znali. Menel gestykulował, jego znajomy śmiał się. Schowałem się za pień drzewa. Nie chciałem, żeby mnie zauważyli. Ale od razu wiedziałem, że pójdę za tym człowiekiem. Zobaczę, dokąd idzie, gdzie mieszka. Na pewno porozmawiam. Jeśli nie uda się dziś, to jutro, pojutrze. Nie przesłyszałem się: Lachowicz, Lachowicz!

Oni rozmawiali około dziesięciu minut. Czekałem cierpliwie. W końcu podali sobie ręce nad płotem. Menel poszedł dalej. Wtedy ruszyłem za nim, zachowując oczywiście dystans - dziesięć, może piętnaście kroków.

Szedł wolno, czasem stawał. Chwiał się, nawet zatoczył w chwili, gdy usiłował zapalić papierosa. Widziałem, jak odwracał się od wiatru, osłaniał płomyk garścią. Jego postać, między jedną a drugą latarnią, prawie ginęła mi z oczu. W mgle, w mżawce. W końcu, na placu w centrum, tu gdzie latem otwarte sklepy, knajpy, cukiernie (dziś, po sezonie, pozamykane) - skręcił w stronę baru „Pod Żaglami”. Znałem ten bar - zawsze otwarty o wszystkich porach, kiedykolwiek tędy przechodziłem. Do środka trzeba było zejść po kilku stopniach w dół, do dębowych drzwi, przy których wisiał mosiężny dzwon. Zapewne taki jak na żaglowcach. Raz jeden zajrzałem tam, ale zaraz wycofałem się, ogłuszony głośną muzyką. Czerwona Czapka znikł na schodach baru „Pod Żaglami”.

Odczekałem chwilę, nabrałem powietrza do płuc, zszedłem niżej i pchnąłem ciężkie drzwi. Mosiężny dzwon zadzwonił. Stałem chwilę w progu ogłuszony hałasem - muzyką, gwarem, zdawało mi się, że wszyscy naokoło krzyczą. Zaduch, dym papierosów. Kiedy oczy przywykły do półmroku, zobaczyłem kilka długich stołów, przy których siedzieli młodzi ludzie. Zapach grzanego piwa, spoconych ciał. Głośne wybuchy śmiechu - zwłaszcza jakaś dziewczyna śmiała się hałaśliwie. I muzyka, muzyka techno - łomot, którego nie znośm - z głośników ustawionych w głębi. Na mnie nikt nie zwrócił uwagi. Postałem chwilę przy wejściu, potem między stołami przecisnąłem się do bufetu.

Musiałem wołać do łysego chłopaka, przekrzykując hałas. Kupiłem dwie butelki piwa, wziąłem lepką szklankę i poszedłem pod okno, zasłonięte okiennicą (może w ogóle nie było tam okna?). Usiadłem przy jedynym pustym stole. Chciałem przywyknąć do hałasu, zaduchu. Pozbyć się wewnętrznego dygotu. Tak, dygotu: w końcu byłem tu sam jeden, stary, obcy. A jeszcze musiałem przyzwyczać płuca do dymu, oczy do półmroku. Łyknałem piwa z butelki, potem zacząłem się rozglądać. Czerwonej Czapki nigdzie nie było. Jakby zapadł się, rozplynał, znikł. Być może poszedł na zaplecze, jeśli jest tu zadomowiony, lub siedzi na podłodze za bufetem? Różne możliwości brałem pod uwagę.

Kilka razy wstawałem, żeby lepiej się rozejrzeć. Nic. Dopiero po kilku minutach zobaczyłem, gdzie jest. Właściwie domyśliłem się, że to on. Siedział sam, w kącie za bufetem, pod ścianą. Zdjął czerwoną czapkę. Pewno dlatego nie mogłem go znaleźć.

Wstałem, zabrałem dwie butelki, lepką szklankę i zacząłem przeciskać się po raz drugi między stołami. Wąskim przejściem, wśród tych głośnych rozmów, śmiechu, ogolonych głów. W kąt, pod ścianę, gdzie samotnie siedział człowiek o nazwisku Lachowicz.

- Można się przysiąść?

Spojrzał na mnie, zaskoczony lub raczej jak człowiek wyrwany ze snu. Trochę piany z piwa miał na brodzie. Rozpiął czarną kurtę, czerwona czapka leżała na stole. Był łysy.

Dopiero po chwili powiedział:

- Siadaj. Miejsca dosyć. Skolko ugodno!

Usiadłem na szerokiej ławie naprzeciwko. Od razu zaczął mówić - był gadatliwy, jak się przekonałem. Zdaje się, że uznał mnie za kogoś znajomego - kolegę z ferajny, ziomka. Może istotnie przypominałem mu kogoś? Wprawdzie trochę później zapytał kilka razy: „My się znamy?” albo: „A tyś skąd?”. Nawet bardzo uprzejmie: „Przepraszam, z kim mam przyjemność?”. Jakby nagle zmieniał zdanie, stawał się nieufny. Podejrzliwy. Starał się wtedy spojrzeć na mnie - przechylał nad stołem, mrugał powiekami. Później zaraz tracił zainteresowanie, nie czekał na odpowiedź, podczas gdy ja mówiłem: „Z Elbląga”, „Z Warszawy”, „Przyjechałem na parę dni”. Albo nawet: „Nie znamy się, ale możemy się poznać, jaka sprawa?”.

Kilka razy podaliśmy sobie ręce nad stołem: „Zenek”, mówił, a ja przedstawiłem się „Józek”.

- W porządku - powtarzał. - Ty jesteś w porządku, ale ci tutaj? Z nimi nie pogadasz, nie dojdiesz do ładu. Nie mam racji? - pytał. - Barachło, śmiecie! Czego oni chcą od życia? Tylko wypić, dziewczynę przelecieć, ukraść, sprzedać, przepić! No nie jest tak? - Patrzył na mnie. Na łysej głowie odbijało się światło kinkietów. - Ty, Józek, my byli inni, no nie? Jak w coś wierzyłeś, to wierzyłeś. Miałeś dziewczynę, to miałeś. Jak mówiłeś tak, to było tak, jak nie, to nie. A oni tutaj umieją tylko - zakręcił dłonią nad stołem. - O tak umieją. Tylko tak! Nie mam racji?

Potakiwałem. Dolewałem piwa do pustej szklanki, kiedy wypił swoje. Podniosłem butelkę z podłogi, gdy nagłym ruchem stracił pod stół. W końcu pomyślałem, że muszę teraz spytać o Lachowiczów. Zaczynał mówić od rzeczy, gubił wątek, kiwał się nad stołem.

- Ty, posłuchaj: znałeś Lachowiczów? Jana i Barbarę? To twoja rodzina?

Wtedy zamilkł. Mrugając powiekami przyglądał mi się dłużej. Znowu przechylił się przez stół, jakby chciał zajrzeć w oczy. Powtórzył pytanie:

- My się znamy?

Wyjaśniłem, że jako chłopak, w latach pięćdziesiątych, przyjeżdżałem na Mierzeję.

- Mieszkaliśmy u państwa Lachowiczów. On był kapitanem portu na Zalewie. Bosman. Tak go nazywaliśmy.

- W porządku - powiedział. - Zgadza się. To moi starzy.

- Rodzice? - ucieszyłem się. - Naprawdę?

- Jak Boga kocham. Tatuś i mamusia. Ale już ich nie ma. Poszli do ziemi. Wot i wsio!

- rozłożył ręce.

Czy wiesz, co w tym momencie przeżyłem? Radość! Oto siedział przede mną człowiek, który wszystko może wyjaśnić. Wszystko opowiedzieć. Jak było z nami: ze mną, z Mirką. Czy nasze dziecko urodziło się naprawdę? Kiedy?

- Ty, posłuchaj - powiedziałem - oni mieli córkę. Miałaś siostrę? Mirka. Mirosława. Chodziliśmy kąpać się w morzu. Do lasu na jagody. Tak było.

Wtedy uśmiechnął się. Nawet zaśmiał: otworzył usta i wydał kilka krótkich dźwięków, jakby łykał powietrze. Wyciągnął rękę nad stołem, jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie.

- To moja siostrzyczka. Najmilsza siostrunia!

- Żyje? - spytałem, jakbym nie był pewien. - Żyje? - powtórzyłem.

Milczał chwilę, potem potrząsnął głową:

- Niestety, tak jak tatuś i mamusia. Leży w ziemi - machnął ręką. - Wot i wsio!

Teraz umilkł na dłużej. Zdawało mi się, że oczy mu się zaszkliły i kilka łez pociekło po zarośniętym policzku. Mój Boże, zgarnął czerwoną czapkę ze stołu i tarł nią oczy. Płakał.

Teraz już wiedziałem, domyśliłem się: był jednym z dwóch starszych braci Mirki. Wtedy, w pięćdziesiątym drugim, służył w wojsku. Być może to on przyjechał na krótki urlop w lipcu. Przypomniałem sobie słoneczny dzień, ranek, tamto lato i chłopaka w mundurze. Biegłem do wygódki za domem pod sosnami, a on, w rozpiętej kurtce od munduru - bez pasa i czapki - stał w drzwiach kuchni. Bliźniaczki baraszkowały na trawniku. Może rzucał im piłkę? Tyle lat - pół wieku!

- Mirka - powiedziałem - była moją sympatią.

Nie wiem, czy zrozumiał. W chwilę potem przestraszyłem się, że zaraz stracę z nim kontakt. Zaczynał bełkotać. Mówił nieskładnie.

- Wot i wsio, wot i wsio! - Machał rękami, gestykulował. - Wszystko barachło, śmiecie! A ty właściwie kto?

Wpatrywał się we mnie przez stół. Podnosił pustą butelkę do ust, odstawiał z głośnym stukiem.

- Panie Zenku - powiedziałem - musimy porozmawiać. Spokojnie. Nie tu i nie teraz. Gdzie się możemy spotkać? Słyszysz mnie pan, rozumiesz? - sięgnąłem przez stół i chwyciłem go za rękaw. - Może jutro? Możemy się spotkać jutro?

- Jutro, jutro. W porządku. Przyjdź, ulica Gdańska pięćdziesiąt trzy. Za pocztą.

- Przyjdę na pewno - powiedziałem.

- Tylko z flaszką.

To były jego ostatnie słowa. W chwilę później zakołysał się i poleciał na stół. Uderzył

o blat czołem, aż zadzwoniły butelki. Patrzyłem chwilę, jak kurczy i rozprostowuje palce dłoni. Potem podłożyłem mu pod głowę czerwoną czapkę. Wstałem, precyzyjnie się między stołami i wyszedłem. Zadzwonił dzwon.

Mój Boże, wracałem jak na skrzydłach. Było po jedenastej - ciemna noc.

Zacinał deszcz, zimny wiatr. Nigdy tak późno nie wracałem do Ośrodka. Może zaniepokoją się, zaczną zastanawiać, co ze mną? Zgłoszą zaginięcie? Ale nie, nic. Odebrałem klucz od zaspanej Śmieszki. W holu przywitały mnie, jak zawsze, psy.

*

W nocy źle spałem. Deszcz bębnił o blaszany parapet. Wiało przez szpary w okiennych futrynach. Gdzieś blisko nasze psy zaczęły szczekać. Dudnił bas Rambo. Wtórował mu kundelek-inwalida - cienko, zajadle. Długo nie mogły się uspokoić. Może znów dziki weszły na teren Ośrodka? Dziewczyny mówiły, że dużo tu dzików, które szukają resztek jedzenia w śmietnikach.

Podczas tych długich kwadransów bez snu, kiedy tylko przewracałem się z boku na bok, patrząc to na ścianę przy łóżku, to na zarysy okna po drugiej stronie - myślałem o jutrzejszej rozmowie z bratem Mirki. Tym Zenkiem, Zenonem, menelem w czerwonej czapce. Tak, oczywiście - tylko o tej rozmowie. Obmyślałem plan - pytania, które chciałem zadać. Wszystkie najważniejsze pytania. A także ewentualne odpowiedzi, gdyby on także zaczął pytać. Całą strategię - taktykę. Daty, daty.

Czy dziecko na pewno urodziło się w maju pięćdziesiątego trzeciego? Czy wiadomo, kto był ojcem? A jeśli odpowie, że wie? Na przykład „chłopak z Warszawy”? Czy mam się przyznać? Powiedzieć: „tak, to ja, to moje dziecko”?

Jak ten człowiek zareaguje wtedy, myślałem, co powie? Płakał przecież, gdy wspomniałem Mirkę. Czy mogę być pewien, że nie stanie się chamski - nie zacznie wymyślać, złorzeczyć? Czy nie usłyszę wulgarnych słów - może nawet steku wyzwisk? Lub czy nie posunie się do rękoczynów? Jak mam się zachować - co zrobić? Wyjść, tłumaczyć, przeproszać?

Trochę później, już leżąc na wznak i patrząc na ciemny sufit, zastanawiałem się, jaki wpływ na zachowanie takich chłopaków jak ja miały tamte lata. Gdy dojrzewaliśmy - lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte? Nasze szkoły, studia, pierwsza praca - wszystko w PRL-u! Gdy musieliśmy egzystować w dwóch światach: tym stworzonym z gazetowych sloganów, przez fałszywe podręczniki, przez nieprawdę, przymus. I tym na co dzień, zwyczajnym: rozmów przy stole, zabaw z rówieśnikami, opinii rodziców, przyjaciół, krewnych. Zdawaliśmy sobie sprawę, że musimy żyć tu i tu. Mówić dwoma językami. Nie

wychylać się, nie mówić zbyt często prawdy. Bez tego dwuistnienia nie byłoby życia. Czy to podwójne myślenie - mówienie co innego tu, co innego tam - nie ukształtowało mojego charakteru, mentalności? Ta mimikra? Czy nie kształtowała postawy wielu takich jak ja? Nie wpłynęła na moje zachowanie w latach pięćdziesiątych, gdy tak obojętnie potraktowałem Mirkę? Jej listy, jej nadzieję, że kiedyś zamieszkamy razem „z naszym synkiem lub córeczką”, jak napisała? Mogłem wówczas - głupi smarkacz - uznać, że ona należy do świata przymusu.

Za oknem szczekały psy. Nie mogłem zasnąć. Ciemny sufit nad głową. Zapadałem w półsen, budziłem się, znów przewracałem z boku na bok. Ściana - okno, ściana - okno. Niepokój, pytania bez odpowiedzi. Jeden kołowrót. Gonitwa myśli. Sen, półsen. Szczekają psy.

*

Po śniadaniu, o dziesiątej, poszedłem drogą przez centrum w stronę wiejskiej poczty. Pod numerem pięćdziesiątym trzecim, o którym mówił, na pewno nie mieszkał. Młoda kobieta z dzieckiem na rękę nie słyszała o takim. Zachodziłem później do wszystkich domów w sąsiedztwie - pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt dziewięć. Także do tych po parzystej stronie: czterdzieści osiem i tak dalej. Przyciskałem guziki dzwonek przy furtkach, pukałem do drzwi, do okien. Żadnego śladu.

Na jednym z podwojek opadły mnie psy. Ledwo zdołałem się wycofać - rzucały się do nóg, jeden szarpnął za nogawkę. Szczekały zajadle.

- Zenek, w czerwonej czapce? Lubi wypić? Tu pełno takich! - śmiały się kobiety.

Nazwisko niewiele mówiło:

- Lachowicz? Lachowicz? - kręcili głowami. Patrzyli na mnie podejrzliwie: - A po co go szuka? Coś ukradł? Winien pieniądze?

Tłumaczyłem, że znajomy z dawnych lat.

- Niech idzie dalej, w stronę Gdańska. Tam Lachowicze kiedyś mieszkali - usłyszałem od starego mężczyzny. - Pod numerem sto siódmym, jak pamiętam.

- Mówisz o tych, co mieszkają koło Gołębiowskich? - spytała jego żona.

- Gołębiowscy wyjechali. Będzie już dziesięć lat. Tu bliżej, jak Władek mieszka.

- Co ty gadasz? Władek tam nie mieszka. Przy Lachowiczach?

- Mieszka! Co ci teraz będę tłumaczył. Pan tam idzie!

Różne informacje, kłótnie, dużo podobnych rozmów.

Idąc dalej drogą, zaglądając w okna, pukając do drzwi - minąłem dom, przed którym kilkuletnia dziewczynka kołysała dziecienny wózek. Siedziała na schodkach, przed gankiem -

wózek stał niżej. Płacz dziecka słycać było z daleka - akurat musiało się obudzić. Mała zaczęła silniej kołysać, ale płacz nie ustawał. Przeciwnie - niemowlę zachłystywało się płaczem. Milkło na chwilę, nabierało tchu i znów słycałem lament.

W chwili, gdy byłem naprzeciwko ganku, z domu wybiegła kobieta - na wpół rozebrana - w różowej halce zamiast spódnicy i rozpiętej bluzce.

- Jak pilnujesz dzieciaka? - usłycałem krzyk.

Dostrzegłem, jak mała kuli się. Matka (lub babka - nie widziałem wyraźnie twarzy) zaczęła okładać ją po głowie. Słycałem te uderzenia, a potem płacz pobitego dziecka. Ta kobieta schyliła się i wyjęła niemowlę z wózka. Wzięła na ręce, kołysała chwilę i zaraz weszła do domu. Na schodach ganku została mała opiekunka. Teraz ona zanosila się płaczem. Pusty wózek - szary, z budką - kołysał się jeszcze, kiedy odchodziłem.

Powoli posuwałem się dalej - w stronę Gdańska. Ale dopiero blisko stacji benzynowej i domu Lachowiczów trafiłem pod właściwy adres. W niskim budynku - drewnianym, zwróconym do szosy ślepa ścianą - otworzyła drzwi tęga kobieta. Śniada twarz, ciemne oczy. Długa spódnica, czarny sweter. Musiała widzieć mnie przez małe okno, kiedy szedłem przez podwórze. Podpierała się laską. Z sieni czmychnął na podwórko czarny kot.

Powiedziałem „dzień dobry”, ale nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie trochę z góry - przed progiem był stopień.

- Czy mieszka tutaj Zenon Lachowicz? - spytałem.

- Mieszka - powiedziała. - Mieszka i nie mieszka - dodała zaraz. - A po co go potrzebuje?

- Znamy się z dawnych lat. Chciałem porozmawiać.

Wtedy usłycałem, że nie przyszedł na noc.

- A jak wrócił nad ranem, to zaraz się zabrał i pojechał PKS-em do Gdańska. O siódmej trzydzieści - machnęła laską w stronę stacji benzynowej. - Z tamtego przystanku.

- Mój Boże - wyrwało mi się. Musiała zauważyć, jak bardzo się zmartwiłem. Kim był dla niej menel w czerwonej czapce - mężem, konkubentem, kuzynem? Stałem przed kobietą z laską i nie wiedziałem, co powiedzieć. Oboje milczeliśmy. W końcu ona odezwała się pierwsza:

- Tak mu zależy na tym pijaku? To słaby człowiek. Jak wpadnie w cug, to i za miesiąc nie wróci.

Znów machnęła laską, tym razem żeby odpędzić kury, które zbiegły się pod próg.

- Ale niech się dowiaduje. Niech jutro przyjdzie, pojutrze.

Kot przemknął pod moimi nogami - przycupnął pod jej spódnica, obok pantofla.

Czarny, mrużył żółte oczy. Stado kur czekało na ziarno. Od łąk i zalewu chłodny powiew. Ukłoniłem się i zacząłem odchodzić. Wtedy zawołała za mną:

- Od niego niczego się nie dowie!

Odwrociłem się, zaskoczony, ale już znikła.

Usłyszałem ciche stuknięcie drzwi w ościeżnicę. Co chciała powiedzieć? Czy czegoś się domyślała - wiedziała coś o mnie? Przez chwilę zdawało mi się, że patrzy przez małe okienko. Zza białej zasłony widać zarys twarzy. Zapewne tylko złudzenie.

Wracałem poboczem drogi - raczej wlokłem się, przygnębiony. Biegłem na to spotkanie jak na skrzydłach - z nadzieją, z planem rozmowy. I nic. Pusty dzień. Dlaczego wyjechał? Nie chciał rozmawiać? Domyślił się, kim jestem? Wszystko możliwe.

Wieczorem zadzwoniłem do Olgi. Powiedziałem, że jutro wracam. Nie zdziwiła się:

- Już ci przeszło?

- A co miało przejść? - spytałem nieostrożnie.

Wtedy Olga podniosła głos:

- Jak to co? Twoje nienormalne zachowanie! Jedziesz, znikasz! Nie mówisz po co.

- Olu, Olu - zacząłem powtarzać, tak jak zawsze powtarzam w rozmowach z matką. -

Wszystko ci wytłumaczę, wyjaśnię, ale nie teraz. Nie przez telefon. Jutro wieczorem będę w domu!

- Jutro idę do teatru - powiedziała Olga i odłożyła słuchawkę.

*

Dziś niedziela. Ósmy dzień. Jednak nie zdecydowałem się na wyjazd. Olga przeżyje rozczarowanie. Trudno. Tyle się naczekała na mnie. Jedno rozczarowanie mniej, jedno więcej. Nie chcę zmarnować szansy. Może brat Mirki wróci? W końcu coś wyjaśnię - będę wiedział.

Przed południem, w czasie spaceru plażą, widziałem lotniarzy. Fascynujące widowisko: na ubitym przez sztormy piasku rozpędzili motolotnię, biegnąc z dwóch stron, póki nie zaterkotał silnik, wtedy wskoczyli w biegu na krzeselka, pod czasę spadochronu. Jechali coraz prędzej, wiatr kołysał wielką płachtą na sznurkach - rzucał na boki. Widziałem, jak powoli unoszą się nad plażą - dwie sylwetki, dwie głowy, różowy spadochron nad nimi. Lecieli nisko, później zaczęli nabierać wysokości, unosili się coraz wyżej - na tle pogodnego nieba. Skręcili w stronę morza i zaczęli oddalać się, coraz mniejsi na bladoniebieskim tle. Warkot motolotni, z początku głośny, jak warkot motocykla, powoli cichł. Patrzyłem, póki różowa plama nad granatowym morzem nie znikła.

Idąc dalej po mokrym piasku myślałem, dlaczego nie nauczyłem się latać na

motolotni? Na szybowcu? Teraz, kiedy mam prawie siedemdziesiąt lat, jest już za późno, ale przed trzydziestu, dwudziestu laty? Mogłem próbować. Pomyśl, Jacku! Wyobraź sobie, tak jak ja tutaj, idąc plażą, że lecimy nad Mierzeją, patrząc z góry na zielony pas, na korony drzew. Na zalew po tamtej stronie - pustą plażę.

I morze, morze, aż po horyzont pod lotnią. Wiatr, dygoczą sznurki spadochronu. Czy nie byłbyś szczęśliwy - wolny? Wszystko zostało na ziemi.

Wtedy, przed południem, idąc na zachód ciągle pustą plażą, przypomniałem sobie nasze motorowe wycieczki w Bieszczadach - miałeś cztery lata. Sadzaliśmy ciebie między sobą, na szerokim siodle SHL-ki. Prowadziłem motor - Olga obejmowała mnie w pasie. Jeździliśmy w góry, odkrywaliśmy nowe miejsca. Skręcaliśmy zwykle z asfaltu na boczne drogi, w nieznane doliny, nad nieznane potoki.

W czasie jednej z takich wypraw, pamiętam, zbieraliśmy maliny. Gęste krzewy rosły na stokach nad wąską drogą. To była taka mała dolina, gdzieś pod masywem Otrytu. I tam, nagle, w zupełnej ciszy, usłyszałem pozdrowienie. Ktoś powiedział „Dzień dobry”!

Rozejrzałem się - tutaj, blisko nikogo nie było. Ty z matką zbieraliście maliny dalej. Zobaczyłem nasz motor pod drzewami i białą kankę na zarośniętej ścieżce. Granatowa pokrywka leżała w trawie. W chwilę później po ścieżce przemknął wielki cień. Dopiero wtedy spojrzałem w górę. Nad doliną przeleciał szybowiec. Nisko, najwyżej sto metrów nad drzewami. W zupełnej ciszy. Może szykował się do lądowania na stoku sąsiedniej góry? Lub przeciwnie - nabierał wysokości? Nie wiem. Znikł za koronami świerków. Pamiętasz tamten szybowiec? Pilot powiedział „Dzień dobry”. Pozdrowił nas z nieba, a my nie zdążyliśmy odpowiedzieć.

Wracalem lasem, później drogą przez wieś. Za pnem dębu znów skręciłem pod dom Lachowiczów. Chciałem dzwonić do drzwi, przedstawić się, ktokolwiek by otworzył, powiedzieć, że chcę rozmawiać o Mirosławie. I tak dalej. Znów za drucianą siatką biegał czarny kundelek i znów nie przycisnąłem dzwonka. Kilka razy stawałem przed furtką. Wracalem na drogę. Szedłem z powrotem. Raz zdawało mi się, że ktoś wyjrzał zza zasłony w oknie. Dlaczego nie uchylił drzwi, nie zawołał?

Poszedłem na obiad do „Fregaty”.

*

Pomagają przypadki - szczęśliwe zbiegi okoliczności. Trudno uwierzyć, ale posłuchaj.

Dwa dni po rozmowie z kobietą, u której mieszka brat Mirki, późnym popołudniem poszedłem z zamiarem sprawdzenia, czy nie wrócił. Idąc tam zaszedłem na pocztę - chciałem wrzucić list do matki. Jednak napisałem kilka słów - postanowiłem wyjaśnić (ogłędnie

oczywiście), dlaczego tu jestem. Bez szczegółów, broń Boże, aby uniknąć tłumaczeń, gdyby wszystko okazało się iluzją.

„Olu moja kochana - pisałem - chcę rozwikłać starą historię sprzed pięćdziesięciu lat. Epizod z ubiegłego wieku. Czuję się winny wobec kogoś, kto już nie żyje. Muszę sprawę wyjaśnić! Być może zresztą nic się nie stało - nie wiem. Wszystko opowiem ci po powrocie. Teraz tylko proszę o cierpliwość. Całuję...” i tak dalej. Miałem nadzieję, że chociaż trochę uspokoję matkę.

Na poczcie, oczywiście, kolejka. Przede mną kilka kobiet, stary mężczyzna, dziecko. Tylko jedno okienko - ślamazarna obsługa, ale musiałem odczekać swoje, aby kupić kopertę i znaczek. Po minucie lub dwóch ktoś stanął za mną. Odwróciłem się po chwili, ale raczej żeby rozejrzeć się - odruchowo. Omalże nie krzyknąłem i nie powiedziałem czegoś niepotrzebnego. Za mną stała tamta dziewczynka z ganku - podłotek, mała, która mogła być moją wnuczką. Co za przypadek! Córka córki Mirosławy. Ta sama, którą widziałem w sklepie z jabłkami. Ona, ona! Od razu zacząłem zastanawiać się, jak nie zmarnować okazji? Jak ją zagadnąć, skłonić do rozmowy? Obejrzałem się raz i drugi. Była w tym samym różowym swetrze. Włosy przewiązała tasiemką. Uszy i nos kształtne. Niebieskie oczy, jak u twego Tomka.

- Znałem twoją babcię - powiedziałem cicho, tak aby tylko ona usłyszała. - Wiesz?

- Naprawdę? - spojrzała na mnie trochę spłoszona. - Babcię Mirkę?

- Babcię Mirkę.

Teraz ona przyglądała mi się przez chwilę: staremu mężczyźnie w spłowiałej wiatrówce, białej czapce z daszkiem (codziennie ją noszę), w okularach. Mój duży nos i siwy zarost (nie ogoliłem się tego ranka) pewno nie zrobiły dobrego wrażenia. A może zapamiętała mnie zza furtki, gdy pierwszego dnia rozmawiałem z jej matką naprzeciw ganku?

- Dużo ludzi znało babcię - powiedziała.

- Jak masz na imię?

- Ja? - popatrzyła na mnie. - Kasia. Katarzyna - poprawiła się.

- Bardzo ładne imię - zdążyłem jeszcze powiedzieć. Akurat kobieta przede mną odeszła od okienka. Kupiłem znaczek, zaadresowałem kopertę na stole, pod ścianą. Wrzuciłem list do skrzynki i zszedłem po kamiennych schodach, przytrzymując się śliskiej poręczy. Postanowiłem zaczekać na ulicy - koniecznie zaczekać. „Jest coś bliskiego w rysach tego dziecka”, myślałem poruszony.

Okazało się, że przyjechała na rowerze - tym samym, który stał przed sklepem. Czarnym, męskim, z dużym siodełkiem opuszczonym nisko. Czekał oparty o poręcz

schodów. Patrzyłem, jak zbiega z góry, przeskakując stopnie. Była w obcisłych dżinsach i tych samych, zbyt dużych adidasach.

- Posłuchaj, Kasiu - powiedziałem - idę w stronę twojego domu. Może podejdiesz kawałek ze mną? Porozmawiamy.

- Dobrze - zgodziła się, ale zaraz dodała:

- Tylko że ja pana wcale nie znam.

- Mam na imię Józef. Kiedy poznałem twoją babcię, byliśmy trochę starsi od ciebie, wiesz? To tak, jakbym teraz był chłopakiem i poznał Kasię z Mierzei.

Uśmiechnęła się.

- Przyjeżdżałem tu na wakacje. Bardzo dawno. A teraz przyjechałem na kilka dni, ale ciągle myślę o twojej babci. Pamiętam ją bardzo dobrze. Chodziliśmy na plażę i do lasu zbierać jagody.

Znów uśmiechnęła się.

- Wszyscy babcię Mirkę wspominają.

- Pamiętam nawet, o czym mówiła do mnie - powiedziałem.

- To bardzo dobrze.

Przyjrzała mi się uważniej, potem chwyciła za kierownicę i zatoczyła rowerem półkole na chodniku. Poszliśmy powoli w stronę Gdańska.

- Pamiętasz swoich pradziadków? - spytałem. - Pradziadka Jana i prababcię Basię? Mieszkaliśmy u nich w czasie wakacji. W tym samym domu, w którym teraz mieszkasz.

- Naprawdę? Oni już nie żyją. Nie znałam ich.

- A ja ich pamiętam dobrze. Tak jak babcię Mirkę. - Potem spytałem trochę głośniejszym głosem: - A męża babci Mirki pamiętasz?

- Dziadka Romana? - znów spojrzała na mnie (szybkie spojrzenie). - Pewno, że pamiętam. On jeszcze żyje. Tylko nie mieszka z nami. Wyjechał.

- Po śmierci babci?

Zawahała się:

- Chyba wcześniej. Oni się pokłócili. Dziadek Roman dopiero na pogrzeb przyjechał. Jego też pan pamięta?

Nie odpowiedziałem. Milczeliśmy idąc obok siebie. Czasem zadzwoniła dzwonkiem. Zastanawiałem się, o co jeszcze to dziecko zapytać? Jej ojciec lub matka na pewno ucieliby rozmowę: „Po co gadałaś? Wiesz chociaż, co to za gość?” - oto prawdopodobna reakcja, jeśli opowie o mnie.

- Ile dzieci miała babcia Mirka? - spytałem. - Wiesz?

Zdaje się, że wzruszyła ramionami.

- Pewno, że wiem. Wujka Adama, ciocię Helenkę, wujka Krzysia.

- Są tutaj? Mieszkają z wami?

- Oni wszyscy wyjechali. Wujek Krzysiek mieszka na Śląsku, ciocia Helenka w Poznaniu. Tylko mama została.

- A kto był najstarszy?

- Mama. Moja mama urodziła się pierwsza.

Powtarzam tę rozmowę dokładnie. Zapisałem po powrocie do Ośrodka. Domyślał się, jakie znaczenie miało dla mnie każde słowo. Szła cierpliwie obok, prowadząc rower za kierownicę. Tylko dzwonkiem czasem podzwaniała. Kiedy mijaliśmy szkołę - duży budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy, o szerokich oknach - spytałem, do której klasy chodzi? Powiedziała, że do szóstej.

- Lubisz się uczyć?

Uśmiechnęła się:

- Pewno, że lubię.

Zapytałem jeszcze, ile ma lat?

- Ja? Dwanaście. A nawet trzynaście. - Znow zadzwoniła dzwonkiem. - Proszę pana, muszę już jechać do domu.

Powiedziała to tak nagle - zdecydowanie! To wtedy, w odruchu, pewno nieświadomym - z chęci zatrzymania jeszcze chwilę tego miłego dziecka, mojej domniemanej wnuczki - objąłem ją i przygarnąłem. Pod palcami wyczułem drobne ramię i wilgotny sweter - deszcz zaczynał padać.

- Chciałbym być twoim dziadkiem - powiedziałem.

Nie odpowiedziała, tylko tak jakoś zwinnie wywinęła się spod mego ramienia. Potem zaraz postawiła stopę na pedale, odepchnęła się dwa razy i po męsku, zadzierając prawą nogę, przełożyła nad siodełkiem. Odjechała szybko, kolebiąc się (przez chwilę stała na pedałach), ale po kilku metrach obejrzała się i zawołała:

- Proszę pana, ja mam jednego dziadka: Romana!

Szedłem dalej drogą, w drobnym deszczu, i patrzyłem na różowy sweter Kasi. Jasna plama była coraz dalej i dalej, aż znikła za najbliższym zakrętem. Zastanawiałem się idąc, jak było później, kiedy w maju pięćdziesiątego trzeciego Mirka urodziła córeczkę? I kiedy ja - po tamtych dwóch listach - zamilkłem na zawsze?

Bosman mógł mieć kłopoty, jeśli było tak, jak pisała. Wrócił z Królewca okaleczony, chory. Zapewne nie mógł już pływać z rybakami. Być może UB dalej go nękało? Był

przesłuchiwany, stawiano zarzuty. Czy trafił do więzienia za legionowe piosenki? Mirka, pani Basia i bliźniaczki zostały same. Może wtedy ten WOP-ista o białych rękach, którego kopniak zapamiętałem na resztę życia, zaczął częściej przesiadywać wieczorami? Przystawiał się do Mirki, jak mówiła, ale nie był nachalny. Raczej namolny, cierpliwy. Czekał. W maju matka Kasi przyszła na świat. Był rok pięćdziesiąty trzeci - w pięćdziesiątym piątym, zapewne, Lachowicza wypuścili. Na fali odwilży, jak mówiono. Ale przecież był złamany przejściami, chory - już nie ten sam. Nie śpiewał *Pierwszej Brygady*. Zapewne pił więcej. A kiedy umarł w sześćdziesiątym dziewiątym, WOP-ista (dziadek Roman?) dawno już był mężem Mirki. Ślub brali w pięćdziesiątym siódmym lub ósmym. Jak każe zwyczaj, na Wielkanoc, drugiego dnia Świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Mirka została mężatką o nieznanym mi nazwisku.

Żyli później na Mierzei - na świat przychodziły kolejne dzieci: Adaś, Helenka, Krzysztof. Były WOP-ista prowadził warsztat samochodowy - jedyny w okolicy, więc powodziło się rodzinie nieźle. „Kalkulowało się”, jak mówił. To były czasy Gierka, pamiętasz? Mały fiat z Bielska, tarpan, żuk, duży fiat z Żerania. Bo jeśli nie warsztat, to co? Jak zarabiali na życie? Czy pływał z rybakami?

A Mirka? Może była nauczycielką w szkole, do której dziś chodzi jej wnuczka? Jeśli skończyła Liceum Pedagogiczne w Nowym Dworze lub Elblągu? Lub urzędniczką w Gminie? Wychowywała dzieci, opiekowała się ojcem i matką. Gotowała obiady dla letników, jak kiedyś pani Basia.

Jej mąż pił pewno, jak wszyscy. Duży, kościsty. Jasne włosy i rzęsy. Błede oczy. Na rybackich łodziach, na wietrze i słońcu, jego biała skóra czerwieniała. Łuszczyła się na rękach i twarzy.

- Tatuś wygląda jak pomidor! - śmiała się Helenka.

A jak mówiła do przybranego ojca moja córka? Czy także „tatusiu”, a może „wujku”?

W niedzielę chodzili do kościoła. Były WOP-ista, tak jak dawniej bosman po pijanemu, śpiewał piosenki, tyle że inne - z Ludowego Wojska. „Siedzi luba w okieneczku, jak pąsowej róży kwiat...” Lub pieśń śpiewaną przez żołnierzy po wojnie: „Marsz, marsz Polonia, nasz dzielny narodzie...”.

Kochał pewno Mirkę, chociaż, podchmielony, zawsze wypominał, że wziął sobie „pannę z dzieckiem”. Może czasem uderzył?

Mijały lata. Dzieci dorosły i rozjechały się po świecie - na Śląsk, do Poznania. Czy właśnie wtedy ich małżeństwo zaczęło się rozpadać? Dziadek Roman upijał się częściej. Po pijanemu stawał się brutalny - bił żonę, wyzywał. Przeklinał. Tak mogło być, ale czy tak

było? - myślałem idąc drogą, po śladach rowerowych kół na mokrym asfalcie. I potem, gdy wracałem spod domu konkubiny Zenka Lachowicza (kobiety w czarnym swetrze nie zastałem).

*

Zastanawiam się teraz: czy Mirka była dzieckiem Lachowiczów? Czy na pewno była córką pani Basi? Może tylko Bosmana? Może to Lachowicz był ojcem trojga starszego rodzeństwa: Mirki i dwóch braci - menela i tego, którego nigdy nie poznałem? Pani Basia była macochą?

Mogło i tak być: Bosman, wdowiec, marynarz floty na Prypeci, ożenił się przed wojną po raz drugi. Jego pierwsza żona umarła w latach trzydziestych. Jeżeli tak, to jedynie bliźniaczki pełzające w trawie były dziećmi Jana i Barbary. Nie wspomniano o tym. Nikt nam nie mówił, ale zastanawiam się teraz: czy pani Basia mogła urodzić dwóch synów przed wojną? A jeszcze w trzydziestym czwartym córkę Mirosławę? I mogła, po tamtych trojgu - po dwudziestu latach - urodzić bliźnięta? Czy to możliwe?

Mirka mówiła „mamo”. Nigdy nie rozmawiała ze mną o losach rodziny. Czy cokolwiek wiedziała? Czy pamiętała? Może siostra Bosmana - chuda stryjenka, którą widywałem w kuchni Lachowiczów - opowiedziała mojej matce historię Mirki? Bo przecież jedno czy dwa słowa - napomknięcie o pochodzeniu „tej dziewczyny” - pamiętam. Być może twoja babka chciała mi coś wyjaśnić - opowiedzieć? Znała los Czarnej Jagody. To ja nie chciałem wtedy słuchać. Nie interesowały mnie w latach pięćdziesiątych losy innych ludzi. Także los Mirki - „wojennego dziecka”. Takich słów użyła mama: „to wojenne dziecko, pamiętaj”.

Więc może była dzieckiem z getta? Z Pińska lub Baranowicz? I taką możliwość biorę pod uwagę. Był rok czterdziesty drugi lub czterdziesty trzeci. Niemcy walczyli pod Stalingradem. Tu, na zagarniętych ziemiach, mordowali Żydów. Siostra Lachowicza, Zofia (bo takie, zdaje się, miała imię) znalazła małą na ulicy. Zabrała z błotnistej drogi poleskiego miasteczka. Kilkuletnia dziewczynka przycupnęła pod płotem, po polskiej stronie.

Być może twoja babka wiedziała o tym. Wysłuchiwała opowieści o Mirce od pierwszej opiekunki: mżył deszcz, ulicą jechały chłopskie furmanki, mała siedziała w kucki, tylko w cienkim płaszczyku. Obejmowała chude nogi w trykotowych pończochach. Te pończochy opadały na czarne buciki (jeden z rozwiązany sznurowadłem). To wszystko na całe życie zapamiętała pani Zofia. Wtedy schyliła się i wzięła dziecko za rękę.

Czy od razu zaprowadziła do Lachowiczów? Bosman mógł się ukrywać. Na pewno był w konspiracji - w AK. Mogli wyprowadzić się pod Baranowicze w czterdziestym

pierwszym. A wtedy pani Zofia z małą Mirką (imię zapewne wymyślone) powędrowały do domu Lachowiczów przez bezdroża. Dziesięć, dwanaście kilometrów - więcej? Szwagierka Lachowiczowej uznała, że u brata będzie bezpieczniej. Mogło i tak być: szły zimą, w zaspach śnieżnych, lub jesienią, przez błota, omijając głębokie koleiny. Czy Mirka pamiętała tę wędrowkę? Obie okutane w chusty. Dziecko w pożyczonych, zbyt dużych walonkach. Skąd znam te szczegóły? Od niej - od matki? Może o kogo innego chodzi?

Nie wiem, nie wiem. Pamiętam, że Mirka spontanicznie witała siostrę Bosmana. Kiedyś nawet rzuciła się jej na szyję. Pani Zofia zatoczyła się, śmiejąc, pod sosnę z ławeczką Lachowicza.

Teraz zastanawiam się: jeśli tak było, to czy pani Basia przygarnęła od razu dziecko? Bez oporów, bez obaw - dyskusji z chudą szwagierką? Zapewne bała się sąsiadów, niemieckich żandarmów, białoruskich policjantów. Ludzkiej ciekawości. Jak wytłumaczyć obecność dziewczynki? Kto uwierzy, że to jej dziecko?

Wszystko możliwe. Teraz myślę o tym, choć dawniej ani do głowy by mi nie przyszło: rude włosy Mirki, ciemne oczy, karnacja skóry. Czy była dzieckiem z getta? Niczego już się nie dowiem. Nikogo nie zapytam - nawet menela w czerwonej czapce, gdyby wrócił. Po co?

*

Dzień później. Dziś odwiedziłem Urząd Stanu Cywilnego miejscowej Gminy. Po wizycie w kościele i rozmowie z nieżyczliwym klechą odkładałem tę następną próbę. Obawiałem się, że skończy się tak jak wtedy - niczym. Oczywiście nie pomyliłem się.

Urzędniczka - dziewczyna podobna, jak wszystkie tutaj, do recepcjonistek z Ośrodka - spytała, kim była dla mnie Lachowicz Mirosława? Siostrą, żoną, córką? Wymieniłem panińskie nazwisko Mirki.

Powiedziałem, że chodzi o jej pierwsze dziecko. Przyszło na świat wiosną pięćdziesiątego trzeciego - tyle wiedziałem na pewno.

- W ubiegłym wieku, proszę pani. Chciałbym obejrzeć metrykę.

Wtedy roześmiała się, patrząc na koleżankę przy sąsiednim biurku:

- Niestety, to są dokumenty tylko dla najbliższych krewnych. A pan kim jest dla Mirosławy? I powtórzyła, jak przed chwilą: - Bratem, mężem, synem?

Czy miałem powiedzieć: nikim? Obcym człowiekiem? Była, zapewne, matką mego dziecka. Zawahałem się, zamilkłem.

- Proszę pana, jest pan kimś z rodziny zmarłej Mirosławy? - usłyszałem to pytanie po raz trzeci.

- Nie - powiedziałem. - Jestem obcym człowiekiem.

- A więc niestety - znów popatrzyła na koleżankę. - Niestety, nie mogę okazać metryki Joanny.

Dopiero gdy wyszedłem z Urzędu, dotarło do mnie, że ona wymieniła imię: Joanna! Odetchnąłem głęboko. Skręciłem zaraz na ścieżkę za budynkiem Urzędu, obok kilku samochodów i pojemników na śmiecie. Szedłem w stronę plaży, przez las. Podniosłem patyk z mchu. Pamiętam, że przebiegłem kawałek wymachując kijem, jak smarkacz. Joanna, Joanna! - powtarzałem. Później tym kijem starałem się trafić w szyszki pod nogami.

*

Dzień później. Morze spokojne - nie ma sztormu, nie wieje zachodni wiatr. Poszedłem tuż nad brzegiem, omijając wyrzucone deski, skrzynki, pnie. Dużo wodorostów, łachy kamieni. Błede słońce. Linia horyzontu zatarta - w szarej mgle.

W jednym miejscu wśród wyrzuconych czarnych patyków, kory, wodorostów znalazłem spory bursztyn. Błysnął, gdy przechodziłem obok, jak kawałek szkła. Ale to był prawdziwy jantar: duży, wielkości pudełka od zapalek. Trzymałem chwilę nad głową, patrząc pod zamglone słońce. Miał barwę ciemnego miodu.

Trochę dalej zatrzymałem się na dłużej, koło pnia, przy którym zwykle siadałem. Spod wydmy przyniosłem deskę - oparłem się plecami o pień. Chyba się zdrzemnąłem lub zapadłem w ów stan na pograniczu snu. To tam, w półśnie, zobaczyłem nagle ojca idącego brzegiem. Szedł od strony leśniczówki, w której w latach siedemdziesiątych spędził ostatnie wakacje. W białej koszuli, w spodniach od starego garnituru, przepasanych brązowym paskiem. Zapewne w tenisówkach, których nie widziałem, bo szedł tuż nad wodą - stopy zasłaniał nawis piasku. Patrzyłem zdumiony, jak rażno idzie, pogwizdując, chociaż nie słyszałem melodii. Nie żył przecież od tylu lat! Nie spojrzał w moją stronę. Przeszedł blisko - najwyżej dziesięć kroków od pnia. Widziałem, jak podmuch wiatru uniósł kępkę siwych włosów na jego głowie. Powstał mały wicherek. Odchodził powoli, był coraz dalej, coraz mniejszy. Patrzyłem na sylwetkę ojca, póki nie znikła. Czy teraz, w październiku, w samej koszuli - nie było mu zimno? We śnie tylko o tym pomyślałem, zamiast biec za nim, krzyżeć. Ocknąłem się i spojrzałem w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą majaczyła biała plama. Nic. Pusty brzeg. Powtarzający się szelest fal. Krzyczy mewa śmieszka.

Po południu inne zdarzenie. Już nie sen - wszystko na jawie. Około szesnastej znów spacer nad morzem. Poszedłem, jak zwykle, na zachód, w stronę słońca. Minąłem łódki - plaża przede mną i za mną pusta. Gdzieś tam, z daleka, usłyszałem wołanie. Z wydmy zbiegła, potykając się, czarno ubrana kobieta - opiekunka chłopca z zespołem Downa. Bosa,

w dzinsach z podwiniętymi nogawkami. Czarny szal trzymała w ręku - włókł się za nią po piasku. Spytała, czy nie widziałem chłopca w żółtej wiatrówce.

- On jest chory, proszę pana - mówiła. - Źle się orientuje, gdzieś odszedł nagle. Zginął mi z oczu. Znikł.

Upuściła szal. Pamiętam, że schyliłem się i podniosłem. Była zdyszana, musiała biec przed chwilą.

- Na pewno się znajdzie - powiedziałem. - Może jest w lesie? Może pobiegł do wsi, do domu?

- Byłam, byłam. Nigdzie go nie ma.

Staliśmy na pustej plaży, niedaleko wydm.

- Boże, Boże, a jeśli utonął?

- Niemożliwe - powiedziałem. - Wykluczone. To przecież październik! Nie wszedłby do wody.

- Wszystko możliwe. Wszystko możliwe - powtórzyła.

Zastanawiałem się, jak jej pomóc: radzić, żeby szła na policję - zgłosiła zaginięcie chłopca? Dalej szukać w lesie? Razem błąkać się po wydmach?

Tak jak ona, rozglądałem się bezradnie. Nie pamiętam nawet, w którym momencie - po minucie czy dwóch - zobaczyłem żółtą plamę. Bardzo daleko - tuż nad brzegiem, nad linią wody.

- Tam, tam! Proszę spojrzeć!

Ale ona nic nie zobaczyła. Przesłoniła oczy:

- Naprawdę?

Wtedy zacząłem iść szybko brzegiem, potem biec. Poszła za mną, ale pewno nie miała dość siły - oddalałem się coraz bardziej. Biegłem, zwalniałem kroku, podbiegłem kawałek - powoli byłem coraz bliżej jasnej plamy. Tak, to na pewno był on, chłopiec w wiatrówce. Trzymał w ręku patyk, którym wymachiwał. Zdaje się, że usiłował trafić w kamyki, turlające się za falą. Kiedy byłem niedaleko, zawołałem:

- Hej, chłopcze, zaczekaj!

Ale nie obejrzał się. Dopiero kiedy chwyciłem go za łokieć, spojrzał na mnie. Podniósł patyk, jakby chciał się bronić. - Nie bój się, nic ci nie zrobię. Trzeba, żebyś wracał. Mama czeka.

Mówiłem to wszystko zdyszany, stanąłem w rozkroku, dłonie na kolanach. Oddychałem szybko. Opuścił patyk, ale jeszcze przez chwilę patrzył na mnie małymi oczami - nieufnie. Pomyślałem, że przecież nie wiem, czy tamta kobieta jest matką. Mogła być ciotką

lub babką. Chłopiec milczał - może nie mówił? Lub znał za mało słów, żeby wyjaśnić? Miał przemoczone do kolan spodnie. Mokre adidas oblepione piaskiem. Zaczęliśmy wracać. Szedł przede mną, wywijając patykiem.

Kilka minut później spotkaliśmy opiekunkę. Szła naprzeciw.

- Wojtusi - zaczęła zaraz mówić - jak mogłeś coś podobnego zrobić? - pochyliła się nad chłopcem. - Jak ty wyglądasz, twoje spodnie, buciki?

Wyprostowała się, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Dziękuję.

Doszliśmy razem do łódek. Tam skręcili w stronę przejścia na wydmach. Nie zamieniła ze mną nawet kilku słów - ciągle przemawiała do chłopca. Była pewna, że się rozchoruje:

- Zobaczysz, znów będziesz leżał w łóżku! I tak dalej.

Chwilę staliśmy przy burcie łodzi. Wytarła końcem szala boscie nogi z piasku. Włożyła pantofle - schylona, zapinała paski. Spojrzała na mnie i jeszcze raz powiedziała „dziękuję”. Ale już bez uśmiechu.

Zostałem sam. Nad łódkami krążyły mewy. Idąc powoli w stronę ścieżki do Ośrodka, długo jeszcze słyszałem skwir za plecami.

*

Obserwuję kierownika. Bruneta od Marzeny. Jego zachowanie. Ta dziewczyna, o której sprzątaczkę mówiły, że jest w ciąży, nadal go odwiedza. Gdy tylko żona z dziećmi wyjechała, znów przyszła. Wieczorem widziałem, jak wchodziła do pokoju na końcu korytarza. Musiał jej coś obiecać, uspokoić, przekonać, bo później, gdy przechodziła koło moich drzwi, słyszałem śmiech. Kierownik zawołał: „Marzenko, zostawiłaś komórkę”. Śmiejąc się pobiegła z powrotem - zastukały obcasy.

Tych dwoje, jak para zakochanych, zmusza do wspomnień. Tamtego lata, w pięćdziesiątym drugim, nim jeszcze kochaliśmy się naprawdę na plaży, chodziliśmy do lasu. Ze ścieżki - między sosny, deptając po krzakach czarnych jagód. Gdzieś dalej kładliśmy się na mchu. Czasem szukaliśmy lejów po bombach. Wygrzanych słońcem w południe, zasypanych igłami. Leżąc na wznak, widzieliśmy tylko korony sosen i obłoki. Płynęły od strony morza. Zaczynały się pocałunki.

- Zostaniesz moim mężem? - spytała kiedyś Mirka.

Odepchnęła mnie na chwilę, spojrzała w oczy. A ja zbyłem jej pytanie żartem. Powiedziałem ze śmiechem:

- Tak, na pewno! We wrześnieu damy na zapowiedzi!

Dopiero tu, po pół wieku - dół na wydmach, pytanie Mirki, moja odpowiedź, mój śmiech - wszystko wraca. Szum morza, białe chmury. Wyraźny obraz tamtego dnia - wspomnienie tamtej chwili.

Powiem więcej: w tych wspomnieniach wraca przedstawienie, jakie wtedy odegrałem przed Mirką.

- Posłuchaj - powiedziałem unosząc się na łokciu - urządzimy nasze wesele tutaj, na wydmach! - Zatoczyłem krąg ramieniem: - Na tej polanie, wśród traw, obok dołów po bombach! Tu będą stały stoły, ławki, polowa kuchnia. Na tory po kolejce spuścimy dreżynę. Twój ojciec pomoże na pewno. Wszystko będzie można dowieźć! Jedzenie, lampy naftowe - będzie romantycznie! Wyjątkowo romantycznie, rozumiesz? - Ukląkłem, zacząłem gestykulować. - Z desek zrobi się podłogę do tańca. Zresztą możemy tańczyć na piasku. Chodź, zatańczymy na próbę! - Wziąłem Mirkę za rękę, ale zaraz wyrwała małą dłoń.

- Przestań, przestań! - zaczęła powtarzać od tej chwili. Usiadła, objęła kolana. Pochyliła głowę:

- Ja poważnie mówię, a ty żartujesz.

- Ależ skąd, ależ skąd. Najpoważniej na świecie! Ta wizja wesela na wydmach jest fascynująca po prostu! Zaprosimy orkiestrę z „Fregaty”. Łysy będzie śpiewał. Posłuchaj!

Zerwałem się, stanąłem nad Mirką i zacząłem śpiewać: „Jest jedno słońce, co jasno świeci...”

Ona niby się śmiała, ale wciąż mówiła:

- Przestań, przestań!

A ja, rozochocony zabawą, roztaczałem wizje naszego wesela:

- Będziemy mogli tańczyć w kostiumach kąpielowych! Pomyśl: twój ojciec, jego przyjaciele, ten kulawy na przykład... Czy ma kąpielówki?

- Przestań! - krzyknęła głośno i upadła na piach. Podkuliła nogi.

Stałem jeszcze trochę nad Mirką - śpiewałem, udając łysego z „Fregaty”: „Jak morfina zatrulaś serce moje...”. A może: „Gdy patrzę na świat, pełen fałszu i zrad...” - także z jego repertuaru. W końcu usiadłem przy dziewczynie, a ona leżała jakiś czas, przyciskając dłonie do oczu. Nie wiem, czy płakała - nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Z matką było inaczej. Późnym wieczorem wracaliśmy z teatru lub kina. W listopadzie zaciągał deszcz. Stawaliśmy pod murem kościoła ewangelickiego, niedaleko mieszkania rodziców Olgi. Całowaliśmy się w grubych płaszczach, w czapkach, oboje w rękawiczkach. Pamiętam tylko ciepłe usta twojej matki. I mokre policzki. Tak się zaczęła historia twojego życia, mój drogi. Minęły trzy lata i zjawileś się na bożym świecie.

*

Opiekunkę chorego chłopca spotkałem później tylko raz. Znów podczas spaceru na pustej plaży. Przed zachodem słońca. Nic innego nie pozostaje tutaj wieczorami, jak spacer. Przyzwyczailem się - chodzę codziennie.

Przedemną, daleko, ktoś szedł. Widziałem czarną sylwetkę. Oboje szliśmy w stronę zachodzącego słońca. Potem ona zawróciła, a ja szedłem dalej, mrużąc oczy przed czerwoną tarczą. Stanęliśmy naprzeciwko siebie po kilku minutach. Ukłoniłem się - zdjąłem czapkę, ona coś powiedziała, ale nie dosłyszałem pierwszych słów.

Szła boso, trzymała pantofle spięte paskami. Czarny szal na ramionach, siwe włosy, ciemne oczy. Miłe wrażenie - to pamiętam.

Spytałem zaraz o małego - gdzie jest, czy został w domu? Może chory? Powiedziała, że była tylko opiekunką przez dwa tygodnie. Rodzice chłopca wyjechali do Hiszpanii. Wczoraj zabrali małego. Ona została, żeby odpocząć.

- Widział pan: to chore dziecko.

- Nie zabrali synka do Hiszpanii?

- Dla mnie to lepiej - uśmiechnęła się. - Dorabiam do emerytury.

Staliśmy tuż nad wodą. Nie zwracała uwagi na fale. Tylko ja cofałem się, gdy podpływały zbyt blisko.

- Łatwo się zaziębić - powiedziałem. - Październik to nie lipiec.

Znów tylko się uśmiechnęła. Patrzyłem na jej drobne stopy. Nogawki dzinsów podwinięte, łydki oblepione piaskiem.

Wracaliśmy powoli w stronę łódek. Opowiadała o swojej pracy. Była emerytowaną nauczycielką. Teraz zajmowała się chorymi dziećmi: z niedorozwojem, zespołem Downa, autystycznymi nawet. Tu przyjechała na prośbę rodziców chłopca:

- Wynajęli pokój, jedzenie na miejscu. Dobrze mi było - spojrzała na mnie. - A pan? Co pan tu robi?

- Chciałem z kimś porozmawiać. Ale moja znajoma zmarła.

- Współczuję. To smutne.

Nie pytała więcej. Rozmawialiśmy jeszcze o chłopcu, o jego ucieczce.

- Takie dzieci wiedzą, że są inne. Może miał nadzieję, że znajdzie miejsce, gdzie będzie taki sam, jak wszyscy? - Znów spojrzała na mnie. - Dziękuję panu - dotknęła ręki.

Wtedy, w odruchu podobnym do tamtego na drodze, za pocztą, gdy szedłem z Kasią, objąłem tę kobietę i przygarnąłem mocno. Staliśmy tak chwilę, patrząc na morze. Pociemniało, gdy zaszło słońce. Czulem pod palcami ciepłe ramię. Wiatr na twarzy. Gdzieś

niedaleko krzyczała mewa. Przenikliwy głos. Świdrujący. Kiedy umilkła, nieznajoma delikatnie wysunęła się spod mego ramienia. Tak jak Kasia.

- Przepraszam, muszę iść.

- Może odprowadzę panią? W lesie ciemno.

- Nie boję się ciemnego lasu - podniosła z piasku pantofle. Nie podała mi nawet ręki, od razu zaczęła odchodzić. Patrzyłem na czarną sylwetkę na tle wydm. Trochę dalej odwróciła się i pomachała.

Stałem tam jeszcze kilka minut. Mewa już nie odezwała się. Zapach smoły, wodorostów, morza. Potem wróciłem na brzeg.

*

Kilka dni później. Rano poszedłem umyć samochód (liczyłem się jednak z wyjazdem). Z pożyczonym od sprzątaczek wiadrem, szczotką i szmatami. Myłem fiestę za pierwszym pawilonem, gdzie jest recepcja - na pustym placu. W lecie na pewno dużo tu samochodów. Teraz tylko moja fiesta stała pod szpalerem lip.

Po kilku minutach przez otwartą bramę wjechało granatowe audi z ciemnymi szybami. Zatoczyło koło z wizgiem opon, wzbijając kurz, i stanęło niedaleko. Usłyszałem głośny łomot z radia, nastawionego na pełny regulator. Widziałem, jak z auta wysiadł ogolony dresiarz - czerwona koszulka z napisem „Chicago Bulls”, spodnie z lampasami. Białe adidasy. „Napakowany”, jak mówią młodzi, opalony kark, szerokie plecy. Lekko kolebiąc się, poszedł w stronę pawilonu z recepcją. Znikł za węglem.

Myłem samochód, irytując się na hałas: oczywiście nie wyłączył radia. Przez uchyloną szybę słychać było: łup-łup-łup! Bez przerwy. Pocięczałem się, że zaraz wróci i odjedzie.

Minęło kilka minut. Wyjąłem z wiadra mokrą szmatę, wyprostowałem się, żeby umyć dach fiesty, i wtedy zobaczyłem dresiarza z Marzeną. Rozmawiali. Ona oparta plecami o ścianę - on, rozkraczony, przed nią. Nagle usłyszałem krzyk. W chwili, gdy zaczął bić dziewczynę. Widziałem, jak chwyta za włosy, przyciska głowę do ściany i bije po twarzy.

Patrzyłem przez chwilę, zaskoczony. Powstrzymałem nawet odruch, aby tam biec - krzyżeć. Kucnąłem na powrót i chwilę wycierałem drzwi samochodu, starannie spłukując wodą brudne zacieki. Wkładałem i wyjmowałem szmatę z wiadra. Miejsca, gdzie błoto zaschło, szorowałem szczotką.

Krzyki Marzeny były teraz przytłumione, ale ciągle słyszałem, jak powtarzała:

- Zostaw mnie, zostaw mnie! Ty łobuzie!

Za plecami „łup-łup-łup” z radia, a tam wrzaski bitej dziewczyny:

- Zostaw, zostaw! Ty morderco! - W pewnej chwili krzyknęła: - Jezu, zabije mnie!

Znów wyrząłem z za samochodu. Dresiarz kopał Marzenę po łydkach. Bił pięścią po twarzy. Słychać było uderzenia: raz-dwa, raz-dwa! Prawy policzek, lewy policzek! Nawet z tej odległości widziałem posiniaczoną twarz. Ślady krwi. Poplamioną bluzkę. Znów przyglądałem się chwilę. Co mogłem zrobić? Co trzeba było zrobić? Widziałem szerokie plecy chłopaka, opięte czerwoną koszulką. Opalone ramię, kiedy unosił rękę, żeby uderzyć - jego bicepsy. Czy zdawał sobie sprawę, że patrzę? Nie zwracał uwagi. Nie obejrzał się ani razu.

- Jezu, Jezu! Puść! - słyszałem coraz słabszy głos Marzeny. Może traciła przytomność? Zasłaniała się łokciem. Odpychała mężczyznę kolanem.

Rzuciłem w końcu szmatę i pobiegłem w stronę pawilonu. Nie powiedziałem nic, tylko przebiegłem obok - za plecami dresiarza. Krzyki Marzeny i łomot z radia przycichły za węglem. Z impetem pchnąłem oszklone drzwi. Uderzyły o ścianę. Podbiegłem do kontuaru, za którym siedziała Śmieszka:

- Proszę dzwonić na policję! Natychmiast! Dresiarz bije Marzenę!

Później zastanawiałem się, czy dziewczyna udała zdziwienie, czy naprawdę nic nie słyszała? Spojrzała na mnie:

- Edek bije Marzenkę? Poszli tylko porozmawiać.

- Proszę o słuchawkę! Niech pani mówi, jaki numer? - nagle zacząłem się gorączkować. - Posterunek, posterunek!

- Ale po co, po co? - patrzyła na mnie. Błysnął kolczyk w uchu. - Proszę pana, na pewno wszystko się wyjaśni. Oni się pogodzą.

- Co się wyjaśni? - podniosłem głos. - Mówię chyba jasno: ten człowiek katuje koleżankę!

W tym momencie stuknęły drzwi. Marzena wróciła. Przyciskając dłonie do twarzy i głośno łkając, przebiegła przez hol. Uniosła klapę między ścianą a kontuarem (na którym stały paprotki i telefony). Znikła na zapleczu.

- Nie mówiłam? - ucieszyła się Śmieszka. - Edek czasem się zdenerwuje, trochę się pokłóca, ale potem się pogodzą.

Znów nie wiedziałem, jak się zachować: upierać się? Dzwonić na policję? Machnąć ręką? Uniosłem klapę i wszedłem do pakamery. Chciałem zapytać Marzenę o cokolwiek - upewnić się, czy nie wezwać pogotowia.

Dziewczyny nie było - usłyszałem szum wody za matową szybą. Myła się w łazience. Na podłodze, pod drzwiami, kilka czerwonych kropli.

- Pani Marzeno, jak się pani czuje?

Cisza. Powtórzyłem pytanie - raz i drugi. Nic. Po dwóch minutach wyszedłem.

Na placu za recepcją nie było, oczywiście, nikogo. Audi odjechało. Na gałęziach lip skakały sójki.

*

Myślałem potem o swoim zachowaniu. Przypominałem sobie każdą chwilę tamtej sceny. Czy mogłem postąpić inaczej? Coś mówić, krzyknąć? Od razu biec wzywając pomocy? Czyjej lub kogo? Śmieszka powtarzałaby zapewne to samo. Policja w ogóle mogła nie przyjechać. Moja obecność, być może, powstrzymała dresiarza od bardziej brutalnego zachowania. Usiłowałem pocieszać się - tłumaczyć sobie. Przewracając się na wersalce, budząc w nocy, widziałem posiniaczoną twarz Marzeny.

Myślałem jeszcze o tamtych latach: pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. Nas uczono obojętności. Nikt nas nie uczył, jak mówić „nie”. Jak protestować - być przeciw.

Posłuchaj: podczas pracy na jednej z budow (nieważne gdzie to było)omalże nie wstąpiłem do partii. Tak, tak: do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Miałem wówczas niewiele ponad trzydzieści lat. Rok sześćdziesiąty ósmy, w kraju antysemicka nagonka, strajkują studenci - pierwsze protesty. Inwazja na Czechosłowację. Te wszystkie odrażające decyzje polskich komunistów pod dyktando Rosjan. A ja chcę wstąpić do partii, żeby zdobyć talon na samochód! Rozumiesz? Czy rozmawialiśmy kiedyś o tym? Czy ci mówiłem?

Powiem więcej: właśnie wtedy potrafiłem zniszczyć przyjaźń, odwrócić się od przyjaciela, zranić człowieka w chwili, gdy odważył się powiedzieć „nie”.

Posłuchaj: tam, na budowie, w latach sześćdziesiątych, zaprzyjaźniłem się z młodym inżynierem Radeckim. Masz zapewne przyjaciół, którym możesz zaufać, porozmawiać o wszystkim, liczyć na lojalność. Takim człowiekiem był dla mnie Michał.

W naszym domu, na osiedlu pracowników budowy, bywał codziennie. Ile wspólnych wycieczek, spotkań, planów. Twoja matka być może podkochiwała się w moim przyjacielu, ale wiem, że on nigdy nie zawiódłby mego zaufania. Czy pamiętasz Michała? Byłeś małym chłopcem, za małym, żeby zapamiętać.

Radecki był znany na budowie - prowadził ważny Zakład Produkcji Kruszywa. Dobrze zorganizował pracę, wykonywał wszystkie plany. Robotnicy go lubili. Energiczny, pełen życia. I tak dalej. Długo mógłbym opowiadać o Michale. W oczach mam mego przyjaciela z czasów, gdy zimą chodziliśmy w góry, na narty. Jego zjazd po stoku - szusem, przecinką między świerkami. W pyle śnieżnym. Taki został mi w oczach. Mój Boże, ile to już lat?

No dobrze, dość utyskiwać. Nad Michałem zaczęły zbierać się chmury z chwilą, gdy wdał się w spór z dyrekcją budowy. Było tak: kilku inżynierów, kierowników innych działów, wśród nich sekretarz partii, zgłosiło projekt racjonalizatorski. Różni cwaniacy zarabiali wtedy na tak zwanej racjonalizacji. Tamci chcieli brać kruszywo do produkcji betonu ze złoża w łożysku rzeki - położonego blisko budowy. Wyliczali, ile korzyści to przyniesie, ponieważ droga dowozu zostałaby skrócona. I tak dalej, i tak dalej.

Michał zaczął protestować: to złożo było zanieczyszczone, zmieszane z gliną, mułem i czym tam jeszcze. Koszty płukania przewyższały, oczywiście, niewielkie zyski. Dlatego powiedział „nie”. Potrafił powiedzieć.

No i zaczęło się. Tym wszystkim autorom projektu, którzy już liczyli zyski, jego sprzeciw był nie na rękę. Był niezrozumiały: można było tyle zarobić!

- Panie inżynierze - mówili - weźmiemy pana do zespołu. Podzielimy się premią! No, no? Prosta decyzja!

Michał nie ustępował. Wtedy zaczęły się szykany. Pogróżki. Rozmowy z dyrektorami. Oni wszyscy chcieli zarobić. W końcu zagrozili wyrzuceniem z pracy. I tu, nagle, napotkali na przeszkodę: Radecki był w Radzie Robotniczej. To taki relikwyt popaździernikowy z pięćdziesiątego szóstego. Partia jeszcze tolerowała Rady. Zresztą stopniowo traciły na znaczeniu - już wtedy były fikcyjnym organem. Jedno tylko pozostało z tamtych lat: aby wyrzucić kogoś z Rady Robotniczej, potrzebna była zgoda wszystkich pozostałych członków.

Byłem w Radzie. Nie przywiązując, oczywiście, żadnego znaczenia do tego faktu. To było tak, jak z Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej: wszyscy należeli i nikt się nad tym nie zastanawiał. Dopiero przed zebraniem, gdy dyrektor wezwał mnie na rozmowę, zrozumiałem, że tym razem nie chodzi o słowa - na przykład uchwałę popierającą kolejny zjazd partii. Chodzi o Michała.

- Musimy człowieka przywołać do porządku, panie magistrze - usłyszałem. A byłem, jak wiesz, radcą prawnym, odpowiedzialnym za formalne przestrzeganie przepisów.

Krótko, aby się nie rozwodzić o sprawie, która dziś nie ma znaczenia: to zebranie pamiętam bardzo dobrze. Mogę powiedzieć: każdy szczegół. Porę dnia - zaczęło się po szesnastej, po pracy - salę z godłem na ścianie, otwarte okna (było lato), długi stół. Wystąpienie Michała, który jeszcze raz uzasadniał brak zgody na projekt racjonalizatorski. Jego zdaniem nie mógł przynieść korzyści budowie - tylko straty. A potem głosy racjonalizatorów popierających własny plan. I tak dalej, i tak dalej - długą dyskusję. Także mój głos - a mogłem przecież milczeć, zachować neutralność. Tymczasem ja, patrząc w okno, przypomniałem Michałowi naszą rozmowę w cztery oczy, w czasie której nazwał

racjonalizatorów spiskowcami, którzy chcą szkodzić budowie.

- Czy poważnie to mówiłeś? - spytałem. - Czy nie byłeś śmieszny, Michale? - zwróciłem się do przyjaciela po imieniu. Wywołując tym pytaniem śmiech zebranych.

Głosowanie było formalnością: wszyscy byliśmy za usunięciem Radeckiego z funkcji kierownika Zakładu Produkcji Kruszywa oraz za wykluczeniem z grona członków Rady Robotniczej.

Kiedy opuszczaliśmy salę - późno, po kilku godzinach - Michał spojrzał na mnie i spytał:

- Po co to mówiłeś?

Tylko tyle, ale to był koniec naszej przyjaźni. Straciłem przyjaciela. Teraz myślę: czym wytłumaczyć tamto zachowanie? Chęcią przypodobania się dyrektorom? Sekretarzowi partii? Potrzebą błysnięcia przed zebranymi, popisania się rzekomą bezstronnością? Wiedzieli, że przyjaźnię się z Radeckim. A może byłem pozbawionym samokrytycyzmu zadufkiem, przekonanym, że tylko ja mam rację - inni to głupcy pozbawieni inteligencji, wrażliwości, wiedzy. Tak mogłem myśleć - ja, bezgranicznie zadufany w sobie.

Widzisz takich ludzi naokoło: w polityce, literaturze, wśród znajomych. Przekonanych o swojej wyjątkowej roli. Różnych nieudaczników, zakompleksionych grafomanów, żigolaków zawsze łapiących wiatr w żagle! Czy byłem jednym z nich? To możliwe. Nie tylko chłopakiem, któremu tamten ustrój wykrzywił życie, niezdolnym do ludzkiego traktowania innych, do lojalności i uczciwości (myślę o Mirce). Ale także cwaniakiem, który dobrze wiedział, kiedy powiedzieć „tak”, gdy trzeba było krzyczeć „nie”. Dla takich jak ja zawsze najważniejszy był „talon na samochód”.

No dobrze, dość komunałów. Historia z Marzeną zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. Nie mogłem się pozbierać.

*

Dzień później, ale jeszcze o tamtym incydencie z dziewczyną. Kiedy wczoraj wróciłem z parkingu, zaraz poszedłem do pokoju kierownika. Otworzyłem drzwi bez pukania. Siedział przed komputerem, przy biurku, pod oknem. Wykonał obrót na fotelu i spojrzał na mnie:

- Tak?

W samej koszuli, bez krawata, wydał mi się młodszy i szczuplejszy. Czarne włosy gładko zaczesane, cienki wąsik.

- Proszę pana, przed chwilą byłem świadkiem pobicia pańskiej pracownicy. Pani Marzeny, o ile się nie mylę.

Opowiedziałem w kilku słowach o zdarzeniu na parkingu - o przyjeździe dresiarza. O tym, jak rozmawiali z Marzeną pod ścianą i jak nagle zaczął dziewczynę bić:

- Bił pięścią po twarzy, kopał!

Wykrzyczałem to wszystko, gestykulując, a on odezwał się tylko raz:

- Wiem. Ten człowiek to znajomy Marzeny.

- Bandyta! Skatował dziewczynę na moich oczach!

Mówiłem jeszcze, że chciałem dzwonić na policję, ale nie mogłem się dogadać z jego pracownikami.

- Dobrze - powiedział. - Pójdę tam zaraz.

Stałem chwilę przy drzwiach. Potem odwróciłem się i wyszedłem bez „do widzenia”.

*

Dzień później. Czasem chodzę karmić ptaki. To przyzwyczajenie z domu rodzinnego - z Rakowieckiej. Ojciec karmił wróble i gołębie na kuchennym parapecie. Co rano otwierał okno i wysypywał okruchy. Przedtem długo kruszył kromki chleba nad talerzem. Po jego śmierci matka przejęła ten zwyczaj - potem ja. Tu, koło łodzi wyciągniętych na brzeg, nie było wróbli ani gołębi - tylko mewy. Rybitwy, śmieszki. Gdy rybacy wracali z połowów, wyrzucali z sieci rybi drobiazg: małe flądry, dorsze. Także płocie złowione przy ujściu Wisły, leszcze, krasnopióry. Trzepotały na piasku, gubiąc łuski, taplały się na płycznach. Łatwy łup dla ptaków.

Ale w okresach między połowami nie było pożywienia. Chodziłem z chlebem w torbach foliowych. Wcześniej, po śniadaniu, kruszyłem na talerzu, jak ojciec.

Stawałem koło łódek i podrzucałem pierwszą garść wysoko, aby zwabić ptaki. Zlatywały się ze wszystkich stron. Chwytały kawałki w powietrzu, biegały po piasku, łowiły okruchy rzucone do wody. Stałem otoczony chmurą ptaków. Ogłuszający skwir - wrzask, szum. Białe skrzydła naokoło.

Jedna z dużych mew srebrzystych, młoda, bo o rudym upierzeniu, wydawała się oswojona. Nie bała się siadać koło mnie, na łodzi. Nigdy nie latała z krzykiem, nie biegała po piasku, nie brodziła jak inne. Czekwała cierpliwie. Układałem okruchy w długi wężyk na burcie - w jej stronę. Wtedy unosiła skrzydła i drobiąc nóżkami, podchodziła bliżej. Wydziobywała chleb powoli, nie śpiesząc się. Wiele razy tak ją karmiłem. Podchodziła coraz bliżej - w końcu zaczęła zabierać okruchy z ręki. Jej rudobrazowe upierzenie przypominało piegi i włosy Mirki. Nazwałem ją Lachowiczówna.

Kiedyś, gdy już opróżniłem torbę i inne mewy odleciały, została tylko ta jedna. Jeszcze czekała, jeszcze miała nadzieję, że zaraz wyciągnę rękę. Była tuż-tuż, koło mnie, na

burcie. Pamiętam, że zrobiłem to odruchowo - wyciągnąłem rozłożoną dłoń. Wtedy, jak zawsze - unosząc skrzydła przydreptała bliżej. Poczułem muśnięcie dzioba. Cofnęła się, zawiedziona. Zdawało mi się, że spojrzała na mnie z wyrzutem, jakby chciała spytać. „Dlaczego oszukałeś”?

*

Wieczorem. Wracam tutaj do różnych rodzinnych historii. Myślę o ludziach, których nie znałem. Tylko z opowiadań, tylko ze wspomnień. Matki. Ojca.

Historia Tadzia - tak go nazywano w rodzinie. Byłby dla ciebie stryjem, mój brat stryjeczny. Syn starszego brata twego dziadka - Karola, lotnika. W czterdziestym trzecim miał siedemnaście lat. Tyle co ja na Mierzei. Uciekł wtedy od matki i babki, z Legionowa pod Warszawą, do majątku wuja pod Janowem Lubelskim. Stamtąd trafił do oddziału „Jaskółki” w Lasach Janowskich. W czterdziestym czwartym, w czerwcu, gdy Rosjanie zbliżali się ze wschodu, Niemcy otoczyli oddziały AK i BCh. Chcieli mieć spokój na zapleczu.

Wyobraź sobie: lasy, lasy. Ci młodzi chłopcy źle uzbrojeni, źle odziani, jak mówiło się dawniej. Po wielomiesięcznej tułaczce - poniewierce. Przyzwyczajeni do potyczek z żandarmami, do podkładania min na torach, do zabijania konfidentów. Nagle otoczeni przez niemieckich grenadierów w panterkach i hełmach - żołnierzy przerzuconych z frontu. Idą obok czołgów, przeczesują las. Każdą ścieżkę, polanę, wyrąb. Tyraliera za tyralierą. Nad głowami krążą samoloty. Strzela artyleria - nawała ognia spada na las.

A z naszej strony furmanki - koniki zabrane chłopom. Cekaemy na furmankach. Być może francuskie karabiny z pierwszej wojny, pistolety z Radomia, ruskie pepesze. I wiara, że warto ginąć za ojczyznę, bo trzeba walczyć o wolny kraj wbrew wszystkim znakom i faktom: Jalcie, sowieckiej ofensywie, grobom katyńskim! Czy Tadzio słyszał - znał fakty? Czy rozmawiał z kapitanem „Jaskółką”?

Podobno był ranny. Podobno „Jaskółka” oddał mu swego konia. Tych kilka szczegółów znam z opowiadań jego kolegów z oddziału. Podobno cofali się - liczyli, że wyrwą się z okrążenia.

Był upał. Gzy siadały na końskich zadach. Niektórzy próbowali uciekać na własną rękę. Wspinali się na drzewa. Chowali w koronach sosen. Niemcy stawali pod sosnami - słyhać było nawoływania: „Hans, Hans, komm hier!”. „Bandit! Bandit!”. I długa seria ze schmeissera w górę - pod słońce. Sypią się sosnowe gałązki. Za nimi, z łoskotem, spada ciało.

Tadzio zastrzelił się na drodze do Biłgoraja, pod szpalerem świerków. Przeniesiono go na wóz, gdy zaczął tracić przytomność. Podobno miał przestrzelone płuca. Oddychał z trudem. Ale „Podbipięta” i „Kmicic” (dwaj koledzy z oddziału) ciągle wierzyli, że uda im się

przebić, że wyjdą z okrażenia.

Więc dlaczego się zastrzelili? Nie wierzył? Nie chciał iść do niemieckiej niewoli? Nie chciał zginąć, jak tamten na sośnie? Może słyszał, że Niemcy nie biorą rannych? A może tylko ból - ból nie do zniesienia?

Nie wiem. Lufa pistoletu była pewno ciepła od słońca.

Na zdjęciu sprzed wojny dziesięcioletni chłopiec, w mundurze kadeta Korpusu imienia Piłsudskiego, stoi na baczność. Ciotka Wanda po śmierci męża wysłała syna do Lwowa. Długi płaszcz, czapka z tarczą. Pas. Uśmiecha się. A kilka lat później już tylko tamten las - upał. Niemcy w panterkach. Zapewne kazali zrzucić trupa z wozu. „Kmicic” z „Podbipiętą” chwycili za ręce i nogi. Leżał potem w rowie, póki - po przejściu sowieckiej ofensywy - ludność miejscowa nie zaczęła grzebać zabitych w płytkich mogiłach.

Zaledwie kilka lat minęło: podobne lato, taki sam upał. Podobne sosny nad wydrami. Morze. Mirka.

Pogoda zmienia się z dnia na dzień. Dziś rano zobaczyłem płatki śniegu za oknem. Oczywiście topniały na parapecie, ale trawnik i sosny pobielwały. Wiatr strącał białe obłoki z gałęzi.

Po śniadaniu poszedłem odwiedzić konkubinę Zenka Lachowicza. Tak nazwałem mieszkankę domu pod numerem sto trzy. Zmarznięty (nie mam tu ciepłego płaszcza ani kurtki), z płatkami śniegu na czapce i na rękawach, zapukałem do drzwi. Tak jak wtedy, otworzyła natychmiast. I tak jak wtedy, czarny kot wybiegł z sieni - czmychnął koło jej nóg. Podparta laską, patrzyła na mnie z góry, z wysokiego progu.

- No i co? Nie mówiłam? Nie wrócił. I nie ma pewności, że wróci.

- Niedobrze. Zmartwiła mnie pani - zacząłem mówić, a ona zaraz przerwała:

- Proszę pana, to słaby człowiek. Dla niego najważniejsza wódka!

Dopiero teraz powiedziałem „dzień dobry”. Już wiedząc, że przyszedłem na darmo. Z moją nadzieją i wiarą, że wszystko wyjaśnię. Płatki śniegu wpadały do sieni. Pod próg, tak jak wtedy, zbiegły się kury. Wrócił kot.

- Niech wejdzie - powiedziała - na pewno zmarzł. Poczęstuję herbatą.

Odwróciła się i poszła w głąb sieni - zauważyłem, że utyka lekko. Zamknąłem drzwi, strzepnąłem śnieg z czapki. Wszedłem do kuchni.

W kącie izby, w kaflowym piecu, pod blachą, buzował ogień. Pachniało dymem. Deski podłogi pomalowane wiśniową farbą. Szmaciany chodnik pośrodku. Niska powała, białe belki - lampa w blaszanej oprawie. Dwa okienka, na parapetach pelargonie. Drewniany stół przy ścianie, przykryty ceratą. Zydle. I kilka świętych obrazów - nad stołem największy:

Chrystus pokazuje palcem gorejące serce.

- Niech siada. Niech się nie krępuje.

Zastanawiałem się, co mówić, jak się zachować?

Czy mam się przedstawić? Spytałem, czy mogę zdjąć wiatrówkę? Była mokra.

- A dlaczego pyta? Niech rozwiesi nad piecem. Na sznurku.

Kuśtykając chodziła po kuchni. Wyjęła szklanki z kredensu, nalała esencję z imbryczka - wrzątek z okopconego czajnika. Postawiła szklanki na stole. Dopiero kiedy usiadła, mogłem się z bliska przyjrzeć jej twarzy. Była młodsza, niż myślałem. Postarzała ją laska, czarny sweter, długa spódnica. Kiedyś musiała być ładna. Miała piwne oczy.

- No i co chciałby wiedzieć? Kogo szuka? Niech powie.

Znów zaskoczenie: czy wiedziała coś o mnie? Od kogo? Może Lachowicz opowiedział o naszej rozmowie? Nie chciałem zdradzić swego zmieszania, tej konfuzji, którą przeżywałem. Ani zaczynać rozmowy od zwierzeń. Wstałem i przedstawiłem się. Podała mi rękę, ale chyba nie lubiła konwenansów.

- Nieważne, jak kto się nazywa. Mnie wystarczy spojrzeć na człowieka. Na twarzy wszystko pisze.

Piłem herbatę, przekładając szklankę z ręki do ręki. Milczałem.

- No i co? Nie chce o nic pytać? Mam na imię Aniela. Zenek mówi na mnie Anielcia, a inni Gruba albo i Kulawa. Też ładnie. Choć czasem mówią Aniela od Aniołów, jak im coś opowiem.

- Skąd pani wie, że kogoś szukam? - spytałem.

Wtedy pochyliła się nad stołem i dotknęła mojej dłoni:

- Kochany, widzę kobietę. Ona chodzi za tobą po wszystkich ścieżkach. Nie wierzysz? Mówię prawdę.

Dziwne wrażenie: onieśmielenia. Znów nie wiedziałem, co powiedzieć. Słyszałem buzowanie ognia w piecu. Szklanka parzyła w palce. Tykał ścienny zegar. Patrzyłem, jak kot przeciska się szparą między drzwiami a futryną. Wszedł do kuchni, podbiegł do mnie i wskoczył na kolana. Zamruczał.

- O, ho, ho, nie do każdego pójdzie - uśmiechnęła się.

Dopiero wtedy zacząłem opowiadać o Mirce.

O tym, że jako chłopak przyjeżdżałem tu na wakacje, że mieszkaliśmy u Lachowiczów. Przez dwa lata pod rząd.

- Dawno. Przed półwiekiem.

- Jeszcze Stalin chodził po świecie. Wiem.

- Mirka była moją pierwszą dziewczyną, proszę pani.

- Wiem - powtórzyła. Wstała, żeby podrzucić do pieca - schylona, podnosiła polana z podłogi. Kot mruczał, tykał zegar. - Ona umarła.

Teraz ja powiedziałem:

- Wiem.

Kiedy znów usiadła, przez chwilę milczeliśmy. Mieszałem cukier w szklance - podzwaniała łyżeczka. Zdawało mi się, że ta kobieta cały czas patrzy na mnie. Jej przenikliwe oczy! Starąłem się nie okazać zmieszania.

- Ja z tej rodziny - zaczęła mówić. - Wysłałem za brata Mirki. Tego najstarszego, który nie żyje. On mnie tu przywiózł ze Śląska. Tak, tak, młodą dziewczynę. Jeszcze nie byłam kulawa. A potem umarł, bo pił bez umiaru. Rybaczył i pił, rybaczył i pił na przemian. Oni wszyscy pili, ci Lachowicze: mój Lucjan, Zenek, ich ojciec. Romek, mąż Mirki, tak samo. I wszystkich wódka wykończyła powoli - uśmiechnęła się. - Ilem to razy podnosiła Lucka z ulicy, pan wie? A ile razy Mirka swego Romana prowadziła z knajpy? Teść Jan też umarł przez wódkę. Znaleźli go w porcie, leżał na betonie, tam gdzie statki cumują. Teściowa nad nim klęczała i płakała. Tylko mewy latały nad nimi! Oj, tak, tak - westchnęła - czy to Pan Bóg przesądza, czy sam człowiek, jak życie się toczy?

- Czyli pan Zenek to szwagier - powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

- Szwagier, nie szwagier. Przyjęłam go na mieszkanie, kiedy mój umarł, bo ten się tylko tułał. Bez zawodu, bez pracy. Mirka go utrzymywała z emerytury. Zawsze miał od niej parę groszy, które zaraz przepijał. Ja jej mówiłam: „nie dawaj pijakowi”, ale dobra siostra nie chciała słuchać. Myślała, że chodzi głodny.

Znowu pomilczeliśmy. Głaskałem kota. „Tik-tak, tik-tak”, tykał zegar na ścianie. Konkubina Zenka spojrzała na mnie:

- Córka Mirki mieszka niedaleko. I wnuczka, i mąż córki. Zna ten dom na pewno. Niech tam pójdzie, porozmawia, jak chce wiedzieć więcej.

Powiedziałem, że wybieram się, ale jeszcze zaczekam. - Chcę pewne szczegóły znać wcześniej. Pan Zenek mógłby wiele wyjaśnić.

Machnęła ręką:

- A co on wyjaśni? On nic nie wie. Pamięta tylko to, co każdy pijak: ile wypił!

- Jednak muszę o coś zapytać brata Mirki - powiedziałem, głaszcząc grzbiet kota. - To dla mnie bardzo ważne, proszę pani.

Wtedy znów przechyliła się przez stół i dotknęła mojej ręki:

- Kochany, ty przecież wszystko wiesz.

I to był koniec rozmowy. Poczulem, że muszę wyjść jak najprędzej - uciec, bo ta kobieta zaraz zacznie mówić o życiu Mirki, o tym, jak czekała na chłopaka z Warszawy. I tak dalej, i tak dalej. Nie chciałem tego usłyszeć. Chciałem już tylko odetchnąć wilgotnym powietrzem. Wrócić do Ośrodka. Zapomnieć, nie myśleć.

Dopilem herbatę. Wstałem i zacząłem się żegnać. Gospodyni odprowadziła mnie do drzwi. Stała w progu, kiedy szedłem w stronę furtki. Na drodze, po drugiej stronie płotu, odwróciłem się, a wtedy podniosła laskę, wymierzyła we mnie i zawołała:

- Niech jeszcze przyjdzie, niech nie zapomina!

*

Dziś dwa telefony od Olgi. Pierwszy rano, wcześniej - spałem, gdy zaterkotał aparat na stoliku.

- Łączę rozmowę - powiedziała dziewczyna z recepcji.

I zaraz usłyszałem głos Olgi, ale tym razem nie mówiła o mnie ani o moim wyjeździe:

- Antoni miał zawał. Dzwoniła Krysia. Leży w szpitalu w Elblągu. Odwiedzisz go?

- Kiedy? - spytałem po chwili.

- Nieważne. Powinieneś go odwiedzić.

- No dobrze, ale niech trochę dojdzie do siebie.

- Możesz nie zdążyć. To ciężki zawał. Odwiedzisz?

- Odczekam kilka dni. Może już w Jeziornej? Zobaczę.

- Czekaj tatka latka - powiedziała Olga i odłożyła słuchawkę.

Drugi raz zadzwoniła wieczorem. - Byłeś u niego?

- Olu, nie wiem nawet, w jakim szpitalu leży. I czy można go odwiedzać? Poczekam.

- No tak, wiedziałam. Nieszczęścia innych ludzi nie obchodzą cię zupełnie. Nigdy nie obchodziły. Jesteś egoistą do kwadratu!

- Najpierw wszystkiego dowiem się od Krysi - powiedziałem. - Zadzwonię do niej.

- Jeszcze nie dzwoniłeś?

I tak dalej, i tak dalej.

*

Pod wieczór pojechałem odwiedzić osadę blisko granicy. Drogą przez las. W latach sześćdziesiątych nie było tu asfaltu. W ogóle nie było drogi. Leśnym traktem, po wertepach i piasku, jeździły terenowe samochody WOP-u. Można było z nimi się zabrać - szesnaście kilometrów po bezdrożach.

Jedno lato spędziliśmy z Olgą w tej osadzie. Wtedy liczyła zaledwie kilka domów. Rybacy z dawnych Kresów - z Polesia, spod Pińska, z Wileńszczyzny. Łowili w morzu i na

Zalewie. Ryby zabierał kuter z Elbląga. Przechowywali je w lodzie, z przerębli wyrąbywanych zimą.

To były ostatnie wakacje przed wyjazdem w Bieszczady. Dopiero co skończyliśmy studia. Miałeś dwa lata. Do żony gospodarza mówiłeś „mamo”. Rano biegłeś do kuchni po placek kartoflany. Pamiętam małego brzdąca z ciepłym plackiem. W niebieskiej chusteczce na głowie. Cukier puder sypał się na podłogę. Podskakiwałeś z radości. Kiedyś Olga zabrała cię znad koryta dla świń. Pakowałeś otręby do buzi. Szczęśliwe dni.

Teraz, w przedwieczornej mgłę, ta osada wydała mi się zupełnie obca. Dużo wybudowanych domów. Samochody pod oknami. Był także nowy kościół.

Zostawiłem fiestę na placu obok, wszedłem po szerokich stopniach i uchyliłem ciężkie wrota. Kończyło się wieczorne nabożeństwo. Dwa żyrandole z kryształowymi kielichami, w których paliły się żarówki, oświetlały wnętrze. Wielki Chrystus nad ołtarzem - na czarnym krzyżu. Złote tabernakulum. Drewniane ławki. Witraże z czerwonych i zielonych szybek. Zapach świec.

Usiadłem na końcu i tak jak dawniej zacząłem powtarzać w myśli: „Ojczy nasz”, „Zdrowaś Mario”, „Wierzę w Boga”. Przypominałem sobie słowa innych pacierzy: „Pod Twoją obronę”, „Aniele Boży, stróżu mój”. Nawet „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie” zmówiłem.

W ostatnich latach życia babki Jadwigi woziłem matkę do kościoła na Rakowiecką. Siadaliśmy w pierwszych ławkach. Czasem spowiadała się, głośno szepecząc przy konfesjonale, potem prowadziłem ją przed ołtarz, w chwili gdy ksiądz zaczynał rozdawać komunię. Powoli uczyłem się kościelnych pieśni: „Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił...”, „Cześć Maryi, cześć i chwała, Pannie świętej cześć...”. Dziś przypomniałem sobie słowa tej, którą w kościele na Mierzei zaczęły śpiewać kobiety: „Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny...”. I tak dalej.

Po mszy, już po ciemku, poszedłem znajomą ścieżką, jak mi się zdawało, nad morze. Świecił księżyc. Las urósł. Z tamtego lata pamiętałem tylko zagajniki. Stanąłem na wydmie i patrzyłem na morze. Słyszałem szum, ale fal nie było widać. Plaża ginęła w mroku. Na horyzoncie błyskały światła statków.

Wracałem pustą drogą. Mokry asfalt przed maską, piasek na poboczach, drzewa za rowami - wszystko w oparach mgły. Dwa razy przez drogę przebiegały sarny.

W pokoju, o jedenastej, wypiliśmy herbatę. Kiedy otworzyłem radio, grali *Bolero*. Leżałem na wersalce i długo słuchałem tej muzyki. Jej powtarzający się motyw przygasał, potem powracał ze zdwojoną siłą. Przypominał mozolne wspinanie się na górę - wyżej i

wyżej. Wystukiwany bez końca rytm odchodził, cichł. Zamierał, odzywał na nowo. Zacząłem zasypiać. A kiedy *Bolero* umilkło, zadzwoniła Olga.

*

Do Krysi odezwałem się dwa dni po telefonach matki.

- Antek poczuł się lepiej - mówiła. - Jeszcze go trzymają w szpitalu, ale niedługo wyjdzie. Już nie może się doczekać.

Powiedziałem, żeby pozdrowiła Antoniego ode mnie i Olgi.

- Wrócił z tamtego świata - mówiła Krystyna. - To była śmierć kliniczna. Ale teraz już dobrze, już jest dobrze - powtarzała.

Ta rozmowa, głos miłej kuzynki, wpłynęły kojąco na mój stan. Przestałem się niepokoić. Mój drogi, strach, że znowu usłyszę o śmierci bliskiej osoby, stale powraca. Kończysz pięćdziesiąt lat i widzisz jej żniwo: zabiera ojca, zabiera matkę, krewnych, przyjaciół. Jest blisko, coraz bliżej. Krąży naokoło. Te kręgi coraz mniejsze. Znikają ludzie, których kochałeś. Zostają fotografie.

*

Bardzo często myślę o śmierci. Nawet gdy wracam do dzieciństwa, do wojny. Do pierwszych lat po wojnie. Czy wiesz, jak niewiele brakowało, abyśmy zginęli w czterdziestym czwartym? W oczach mam tamten sierpniowy dzień na podwórzu kamienicy przy ulicy Filtrowej sześćdziesiąt dziewięć, na Ochocie. Powstanie już wybuchło, ale walki toczyły się w Śródmieściu. Koło nas nie było powstańców. Na ulicach leżały trupy. Z miasta słyszeliśmy palbę. Terkot broni maszynowej, wybuchy. Niemieckie stukasy rzucały bomby. Wielkie chmury ceglanego pyłu widziałem z okna na czwartym piętrze. Ale podczas tych kilku dni, zanim własowcy, jak mówiono o zbieraniu kryminalistów z Brygady Kamińskiego, popędzili nas na Zieleniak przy Grójeckiej - siedzieliśmy w piwnicach, na dole. Zapewne dorośli uważali, że tam jest bezpieczniej.

Miałem osiem lat. Tych kilka dni - bardzo słonecznych, ciepłych - zapamiętałem na resztę życia. „Pijaną tłuszcę - żołdaków od Kamińskiego”, jak mówił wuj Ksawery. Rosyjskie romanse, śpiewane wieczorami przez śpiewaczkę z naszej kamienicy. „Żołdacy” zmuszali ją do śpiewu. Dźwięki fortepianu. Ogniska palone na podwórzu. Wybuchy śmiechu, czasem krzyki. I ranki, ze słońcem świecącym w okna wysokiej piwnicy.

Tu, na Filtrowej, w mieszkaniu wujostwa Antonowiczów, zajmowaliśmy jeden pokój. Nasze mieszkanie przy Słupeckiej było lokalem konspiracyjnym (nie rozumiałem wtedy, co to znaczy).

Pierwszego sierpnia ojciec - dziadek Henryk - pojechał do Śródmieścia. Dołączył do

zgrupowania Zaręba-Piorun (walczyli później w rejonie Poznańskiej - Wilczej - Hożej). W pierwszych dniach powstania telefonował jeszcze do matki.

Tak, na pewno: najmocniej zapisali się w pamięci żołnierze z „pomocniczej formacji”. W spłowiałych mundurach, z bronią z niemieckiego demobilu, mówiący po ukraińsku, po polsku i rosyjsku. Brudni, spoceni, w kurtkach z podwiniętymi rękawami i pijani. Przede wszystkim pijani, chociaż wtedy nie wiedziałem jeszcze, że człowiek może się upić. Nie znałem zapachu wódki. Nie widziałem nawet butelek z wódką. Dla mnie byli tylko hałaśliwi, krzykliwi, weseli. Ich wesołość budziła lęk.

Siódmego sierpnia wyprowadzili mieszkańców kamienicy na podwórze. Staliśmy pod murem - pamiętam szary mur za plecami. Naprzeciwko - o dziesięć metrów lub trochę dalej - na talerzach erkaemów siedzieli okrakiem młodzi żołnierze. Byli rozchelstani, jak mówiło się u nas w domu - porozpinane kurtki, podwinięte rękawy. Bez czapek. Chyba uśmiechali się, w każdym razie jeden z nich, naprzeciw nas, uśmiechał się na pewno.

Czarne wyloty luf. Słońce świeciło mocno. Zielony trawnik. Na ścianie kamienicy kapliczka z Matką Boską. Zygzakiem, nad głowami żołnierzy, przeleciał motyl bielinek.

Stałem między mamą (trzymała mnie za rękę) a wujostwem - wuj obejmował ciotkę ramieniem. Patrzyłem na rozkraczonych celowniczych. Czekaliśmy, podczas gdy oni nagle zaczęli się klócić. Przybiegł posłaniec - zapewne z rozkazem. Pamiętam podniesione głosy za linią erkaemów. A potem niespodziewany powrót do piwnicy. Jeden z żołnierzy wystrzelił w sufit na klatce schodowej. Tynk posypał się na nasze głowy.

Czasem mówimy „cudem ocaleni”. Mogę tak powiedzieć: tynk posypał się na głowy „cudem ocalonych”. Dopiero wiele lat później uświadomiłem sobie, jak blisko byliśmy granicznej chwili: niespodziewanego błysku z luf erkaemów, huk. Zapewne krzyku kobiet i tego nagłego uderzenia, które poczułbym na pewno. Odrzucającego na mur, z krwią, z odłamkami cegieł z dziur wybitych obok.

*

Często myślę o śmierci stryja Jerzego - o tym, jak wszedłem do ciemnego pokoju, gdzie leżał, z jasnej kuchni, w której kilka osób piło herbatę.

- Stryju - powiedziałem - stryju.

O jego milczeniu, o ciszy. O tym, jak sprawdzaliśmy, czy na lusterku przystawionym do ust będzie ślad oddechu. Nie było śladu. I o nagłym zamieszaniu potem, gdy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Myślę o śmierci ciotki Julii. O tym, jak przywieźliśmy ją do szpitala na ostry dyżur. O lekarzu, który spytał, patrząc na ciotkę - drobną, przykrytą kocem, skurczoną, leżącą na

noszach na podłodze:

- Po coście przywieźli ten szkielecik?

I o tym, jak ciotka powiedziała do Olgi:

- Nie zapomnij nakręcić zegara na kominku.

Także o śmierci psa. Nasz jamnik umierał całą noc. Pamiętasz? Krążył po mieszkaniu, chował się po kątach. Wchodził i wychodził z uchylonej szafy ściennej, w której miał posłanie. Budząc się, słyszeliśmy jego łapy na podłodze: tup-tup, tup-tup. To tu, to tam. Bliżej i dalej. Rano zniosłem go na podwórze. Nie mógł sam zejść po schodach. Nie potrafił się załatwić. Stałem na trawniku, pod drzewem - patrzyłem, jak chwieje się na łapach. Bałem się, że upadnie. Kiedy wróciliśmy, niezdarnie wgramolił się na posłanie w korytarzu (i tu miał swoje legowisko). Położył się. Westchnął. Jeszcze raz spojrzął na mnie. Kilka białych baniek pokazało się koło nosa. Widziałem, jak dreszcz przebiegł po rudej sierści. I odszedł. Umarł.

*

Jeszcze jeden spacer. Po południu poszedłem szukać miejsca, gdzie w pięćdziesiątym pierwszym tańczyła Mirka. Ten obraz - chudej dziewczyny, jej śpiew, gest uniesionej ręki z czerwoną chustką, wszystko nagle wróciło. Jakbym wczoraj tam był i patrzył, jak tańczy.

Poszedłem koło łódek, w stronę słońca, które czasem wyglądało zza chmur. Nie wziąłem chleba, ale mew nie było. Pusto. Morze niespokojne - fale rozlewały się daleko. Szedłem po suchym piasku. Dopiero po kilku minutach dostrzegłem chmurę ptaków. Krążyły nad wodą. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że plaża w tym miejscu jest biała od mew. Morze wyrzuciło ławicę śniętych ryb. Blisko brzegu kołysały się, podrzucane falami - wśród wodorostów, patyków, plastikowych butelek. Desek. Leżały na mokrym piasku: flądry, dorsze, węgorze. Wszystkie martwe. Ptaki miały ucztę.

Przeszedłem obok, omijając ryby. Mewy uciekały spod nóg, odlatywały kawałek. Większe - srebrzyste - nie ruszały się nawet z miejsca. Rozdziobywały rybią padlinę. Wszędzie widziałem rozwleczone łuski, ogony, głowy, wnętrzości. Intensywny zapach. I szum morza - fale suną do brzegu. Wiatr.

Tego miejsca, gdzie Mirka tańczyła, oczywiście nie znalazłem. Kilka minut chodziłem po wydmach - daleko od osady i rybackich łódek. Tu, gdzie - jak mi się zdawało - skradałem się, czołgając wśród kłujących traw, aby wyrzeć zza grzbietu wzniesienia. Być może kształt wydm ulega zmianie? Inny piasek tu leżał. Inne trawy wyrosły.

Schodząc na plażę wąską ścieżką, stałem chwilę, patrząc na niespokojne morze. Z prawej strony chmura ptaków nad ławicą martwych ryb. Z lewej pusto. A przede mną morze, morze, aż po horyzont. Nic.

*

Rano dwudziestego pierwszego października podjąłem decyzję o powrocie. Po przebudzeniu leżałem dość długo, patrząc w okno. To postanowienie przyszło nagle - pomyślałem, że nie mam już po co wałęsać się dłużej po ścieżkach, po pustej plaży. Czekać nie wiadomo na co. Uświadomiłem sobie absurdalność tej sytuacji: właściwie jakich ludzi tu szukam? Jakich śladów? O co tak naprawdę chodzi? Czego się spodziewam? Po tylu latach?

Powrót był jedynym rozsądnym wyjściem. Jedynym rozwiązaniem. Tu byłem obcym człowiekiem. Nie na swoim miejscu. Jeśli - oczywiście - miałem jeszcze jakiegokolwiek miejsce na ziemi, to w każdym razie nie tu. Nie tu.

O jedenastej poszedłem pożegnać się z morzem. Tak jak chodziliśmy żegnać się przed wyjazdem z wakacji - w pięćdziesiątym pierwszym, pięćdziesiątym drugim. Twoja babka mówiła:

- Chodźmy powiedzieć morzu do widzenia. Ostatnia kąpiel, ostatni spacer. Po południu „Marceli Nowotko” odpływał do Elbląga.

Dziś morze było szarobłękitne. Na horyzoncie jaśniejszy pas. Cisza. Poszedłem w stronę łódek. Trochę dalej zebrałem kilka skrzynek wyrzuconych na brzeg. Ustawiłem w półkole, nad płytkim dołem, pod wydumą. Usiadłem po turecku. Z kieszeni bluzy wyjąłem listy Mirki. Przeczytałem jeszcze raz: „Mój kochany Józku, zawiadamiam cię, że jestem w ciąży. Wiem to na pewno, bo jeździłyśmy z matką do lekarza w Elblągu...”. I tak dalej. Potem drugi: „Mój kochany, będę rodzic w maju. Tak powiedział lekarz, gdy byliśmy u niego na kontroli”.

Siedziałem chwilę, trzymając dwie pożółkłe kartki, nim wysuplałem pudełko zapalek. Zmiałem listy w kłęb. Dwie zapałki złamałem, dwie zgasły. Dopiero piątą udało się zapalić. Przez chwilę płomień tylko pełgał - lizał kłębek po wierzchu. Potem, nagle, objął cały, buchnął w rękę, zapłonął. Rzuciłem płonąca kulę na piasek. Patrzyłem, jak płonie i jak gaśnie. Jeszcze kilka strzępów dogasało chwilę. Zostało trochę czarnych płatków. Zmieszałem je z piaskiem i rozrzuciłem naokoło. Wstałem i wróciłem na brzeg.

Wyjechałem dzień później. Po ostatniej tutaj szklance herbaty. Ostatniej bułce z żółtym serem. Z połówką pomidora na obtłuczonym talerzu.

Nim wyszedłem z pokoju, siedziałem kilka minut patrząc na sosny za oknem. Wyciągnąłem nogi, ręce splotłem na karku. Niebo było szare. Gałęzie drzew poruszały się na wietrze. Czy Mirka czekała na mnie? Na mój list - na znak życia? Jak długo wierzyła, że się odezwę, że przyjadę? Stanę na progu - w drzwiach od strony lasu? Od sosny z ławeczką, na której lubił przesiadywać jej ojciec z połówką papierosa w szklanej fiffce? Jak długo mogła

wierzyć, że nie jestem tym, kim byłem?

Przypomniałem sobie historię kobiety, o której opowiadano pod Piotrkowem, na naszej budowie. Przyjechała szukać ojca swego dziecka wśród robotników. Chodziła od baraku do baraku - od kwatery do kwatery.

Kiedyś, wracając ze sklepu do biura (z kupioną bułką lub herbatnikami), zwróciłem uwagę na dziewczynę w czerwonym płaszczu. To była ona. Szła drogą przez wieś - obca. Nigdy tej dziewczyny tutaj nie spotkałem. Był listopad, spadł pierwszy śnieg. Topniał na drodze, wywrotki z budowy grzęzły po osie kół. A ona szła, trzymając tobolek z dzieckiem, przeskakując przez koleiny. Czasami przebiegała niezdarnie kawałek - środkiem drogi. Jej buty i wełniane skarpety powyżej kostek były oblepione błotem.

Trochę później byłem świadkiem rozmowy szefa naszej bazy, inżyniera Lewandowskiego, z tą dziewczyną. Nie знаła nawet nazwiska domniemanego, jak powiedział Lewandowski, ojca dziecka. „Włodzio” mówiła o nim.

- Skąd pani wie, że Włodzio u nas pracuje?
- Siostra powiedziała, żeby go u was poszukać. Widzieli go podobno.
- Podobno! - machnął ręką szef.

Tylko tyle miała do powiedzenia. Krótka rozmowa.

Pośmieliśmy się obaj, kiedy wyszła. Dziecko trzymała cały czas na rękach - kołysała owinięte w koc. Nie widać było główki. Być może, gdyby zapłakało, usłyszelibyśmy skrzek. Ile mogło mieć: dwa tygodnie? Miesiąc? Rok?

Kiedy wyszedłem po kilku minutach od Lewandowskiego, była na korytarzu. Karmiła niemowlę, pólśiedząc na parapecie. Rozpięła czerwony płaszcz. Podtrzymała białą pierś, wysupłaną z bluzki. Dopiero tam zobaczyłem główkę dziecka. I małe rączki, którymi uderzało w odwinięty koc.

Nasz barak - z biurem i stołówką - zawsze pełen był ludzi. Widziałem potem, jak niektórzy robotnicy zagadywali do niej. Stawali przy oknie. Sekretarka, pani Irenka, przyniosła kubek herbaty. Ta dziewczyna przesiedziała na korytarzu godzinę - może dwie. Dziecko zasnęło. Potem znikła.

Opowiadano, że nie znalazła swego Włodzia. Ani w naszej bazie, ani w sąsiedniej - koło Radomska. Czy szukała na innych budowach? Ale nawet gdyby znalazła, myślałem, jak zachowałby się domniemany ojciec? Chłopak, z którym - być może - przespała się raz, czy dwa, po zabawie w remizie strażackiej. Czy uwierzyłby, że to jego dziecko? Wrócił tam, skąd przyjechała matka? Zamieszkał z dziewczyną w czerwonym płaszczu - zgodził się na ślub? Uznał dziecko w toboleku za swoje?

Pamiętam, że rozmawialiśmy jeszcze z inżynierem Lewandowskim o dziewczynie, która szukała Włodzia. Śmiejąc się z jej wiary, nadziei i miłości.

Teraz, tuż przed wyjazdem, popijając herbatę-plujkę w byłym Ośrodku Wczasów Pracowniczych na Mierzei, myślałem, dlaczego Mirka nie przyjechała na Rakowiecką. Dlaczego nie wsiadła do pociągu z naszym dzieckiem owiniętym w koc? Dlaczego nie spróbowała tej samej drogi, jak tamta dziewczyna w czerwonym płaszczu? Znała nie tylko moje imię. Znała adres. Znała moją matkę i mego ojca (przyjechał w pięćdziesiątym drugim, na kilka dni, w połowie sierpnia). Naprawdę mogła, w listopadzie pięćdziesiątego trzeciego, stanąć w drzwiach naszego mieszkania na trzecim piętrze kamienicy przy Rakowieckiej. Więc dlaczego nie przyjechała? Dlaczego nie miała tyle determinacji, nie znalazła w sobie tyle siły, co tamta dziewczyna?

Za oknem szare niebo, konary sosen kołyszą się na wietrze. Gorąca szklanka parzy w palce. Wstałem po kilku minutach i zacząłem się pakować. Niewiele przywiozłem i niewiele zabierałem: stary sweter, przybory do golenia, dwie brudne koszule, tenisówki. Białą czapkę, pantofle.

W holu pożegnały mnie psy. Tak jak pierwszego dnia, zeskoczyły z foteli i podbiegły do mnie. Rambo przewrócił się na grzbiet. Kulawy kundelek biegał naokoło. Klepałem psie brzuchy, karki, ścisnąłem łapy, tarmosiłem uszy.

W recepcji, koło telefonów i paprotki - na kontuarze - położyłem pudełko czekoladek.

- Dla miłych pań - powiedziałem. - Od październikowego letnika.

Była tylko Marzena. Patrzyła na mnie przez ciemne okulary - pewno zasłaniały sińce. Nos, mocno przypudrowany, był jeszcze spuchnięty. Widziałem dziewczynę pierwszy raz od sceny na parkingu.

- Jak samopoczucie, pani Marzeno?

- Moje? - zdziwiła się. - Dobrze.

- Proszę pozdrowić koleżanki.

Przy drzwiach odwróciłem się i ukloniłem. Patrzyła na mnie zza ciemnych okularów, bez uśmiechu.

*

A jednak, mój drogi! Podjąłem jeszcze jedną próbę. Posłuchaj: zostawiłem samochód na placu koło stacji benzynowej i poszedłem w stronę domu Lachowiczów. Powoli, nie śpiesząc się. Za to z mocnym postanowieniem, że tym razem się nie cofnę. Że mimo strachu, tak, strachu - tego wewnętrznego oporu - poproszę o rozmowę. Z kimkolwiek, kto otworzy drzwi: Joanna, jej mąż, nawet Kasia. Wypytam o daty, o imiona. O to, jak Mirka żyła na

Mierzei po pięćdziesiątym trzecim. Doprawdy, siedłem gotowy na wszystko.

Tak jak wtedy, gdy byłem tu pierwszego dnia, za ogrodzeniem szczekał mały pies. Biegał po drugiej stronie drucianej siatki. Chował się za krzewy porzeczek. Wynurzał spod gałęzi. Głośne ujadanie towarzyszyło mi do furtki. Doszedłem do niej w końcu i tu, nagle, zaskoczenie: po dwóch stronach uchylonych drzwi ganku, na podeście nad schodkami - na wyniesionych z domu krzesłach - siedziało tych dwoje. Mężczyzna i kobieta. On trochę starszy od ciebie, mógł mieć pięćdziesiąt lat. W granatowym swetrze golfie i jasnych spodniach. Kobieta starsza - miała około sześćdziesiątki. Siwe włosy, na ramionach narzucona chusta w kwiaty. Kiedy mnie zobaczyli, przerwali rozmowę. Nie przycisnąłem, oczywiście, dzwonka - nie było potrzeby. Powiedziałem głośno, starając się przekrzyknąć psa:

- Dzień dobry! Czy zastałem panią Joannę?

Mężczyzna krzyknął:

- Cicho, Kajtek! - Potem zwrócił się do mnie:

- Chwilowo nieobecna. A o co chodzi? - I znów do psa: - Kajtek, a pójdziesz do budy!

Cicho!

Powiedziałem, że chcę porozmawiać:

- Znałem mamę pani Joanny. Mirosławę.

Mężczyzna nie okazał zainteresowania. Kobieta patrzyła na mnie obojętnie, jak mi się zdawało. Nie wstali z krzeseł, nie zapraszali za furtkę. Po prostu: zamilkli.

Trochę słońca przeświecało przez chmury. Słyszałem szelest wiatru w liściach porzeczek. Pies przestał ujadać. Stał tuż za furtką i tak jak tamtych dwoje, patrzył na mnie.

- Kiedy pani Joanna wróci? - spytałem po chwili.

- Za godzinę, może za dwie - mężczyzna popatrzył na zegarek.

- Dłużej jej zejdzie - odezwała się kobieta. - Gadała, że wróci na wieczór.

- Aśka tak mówiła? A co tam będzie miała do roboty? Ciotka! - zachnął się mężczyzna.

- Zejdzie jej - powtórzyła kobieta.

W tym momencie zza drzwi ganku wyjrzała Kasia. W różowym swetrze - jak wtedy, na poczcie. Jasne włosy przewiązała zapewne tą samą tasiemką. Były gładko zaczesane. Spojrzała na mnie, ale nie powiedziała „dzień dobry”, mimo że uśmiechnąłem się i pomachałem do niej.

Odczekałem jeszcze chwilę:

- Niech państwo pozdrowią panią Joasię ode mnie - tu wymieniłem imię i nazwisko. - Znałem dobrze jej matkę. I rodziców matki: Jana i Barbarę Lachowiczów.

Zacząłem odchodzić w chwili, kiedy Kasia pochyliła się nad mężczyzną. Dostrzegłem, jak wychylona zza futryny, szeptała coś do ucha.

Ochodziłem powoli w stronę szosy. Pies znowu odprowadzał mnie, szczekając. Gdy byłem na dole, już blisko asfaltu, usłyszałem wołanie. Obejrzałem się - na chodniku, przed domem, stał mężczyzna w golfie.

- Proszę pana, proszę pana! - wołał. Machał ręką.

To wtedy poczułem znów zmęczenie lub raczej zniechęcenie. Pomyślałem, że już tam nie wrócę. Że nie warto, nie ma po co. Nie miałem ochoty zadawać tych wszystkich pytań, które znałem na pamięć, ani prosić o odpowiedzi. Cokolwiek wyjaśniać, tłumaczyć. Widziałem niedaleko dach fiesty - wystarczyło dojść, usiąść za kierownicą, odjechać.

Udałem, że nie rozumiem, o kogo chodzi. Odwróciłem się. Dalej szedłem poboczem drogi. Obok przejechało kilka samochodów. Ten mężczyzna wołał jeszcze chwilę:

- Proszę pana, proszę pana, pozwól pan, wróć!

Słyszałem nawoływanie za plecami. Ale już nie obejrzałem się. Dom Lachowiczów, ganek, Kasia - jej różowy sweter, chusta starej kobiety, ten mężczyzna, który wybiegł przed dom, zapewne ojciec Katarzyny - wszystko zostało poza mną.

*

Sosny, sosny. Pas szarego nieba wyżej. Wracałem tą samą trasą: przez Sztutowo, Jantar, Nowy Dwór.

Uchyliłem szybę i cały czas słyszałem świst, jak skowyt. Łzawiły oczy. Elbląg minąłem, jadąc obwodnicą - dalej w kierunku Malborka. Przed Pasłękiem skręciłem na prawo. Włączyłem radio - grali stary przebój z lat pięćdziesiątych:

*Czy pamiętasz o letniej przygodzie,
O ławeczce w zielonym ogrodzie,
O czeremchach, co słodko pachniały
A płatki róż...*

Łzawym barytonem. Banalne słowa.

O spacerach wśród łąków szumiących...

Mój Boże, co za przypadek! Kto to śpiewał: Fogg, Sztatler? Odbiór zakłócały trzaski. Zamknąłem radio. Jechałem teraz szybko: wyprzedzałem ciężarówki, osobowe samochody,

furmanki. Dzieci na drodze. Martwy pies. Domy, łąki, pola. Błysnęło jezioro za drzewami. Mgła.

Około piętnastej zjechałem na pobocze - tak jak wtedy, między Brodnicą a Rypinem zatrzymałem się w lesie. Włączyłem alarm i odszedłem kawałek od drogi, między drzewa. Stałem pod wielką sosną. Pamiętam, że patrzyłem na pień. Między szczelinami kory wędrowały mrówki. Powoli wspinały się w górę. Inne, obok, schodziły w dół. Dwa strumienie żywych istot poruszały się tam i z powrotem. Miałem przed oczami inny świat. Czy wyczuwały moją obecność? Stałem na granicy. Kto wytyczył granicę? W jakim celu?

Zapiąłem spodnie i wróciłem na drogę. Kiedy otwierałem drzwi fiesty, na chwilę włączył się alarm. Przejechały dwa samochody. Słońce za drzewami. Cisza.

Usiadłem za kierownicą. Zdaje się, że w tym momencie poczułem ból. Był bardzo silny. W klatce piersiowej, pod łopatkami. Ustąpił nagle, ale zaraz wrócił, jeszcze silniejszy. Usiłowałem odetchnąć głęboko - nie pomogło. Ból wzrastał przy każdym oddechu.

Chciałem otworzyć drzwi - wrócić pod sosny. Usiąść na mchu, oprzeć się o pień. Lub położyć na wznak pod drzewem. Nie mogłem trafić na klamkę. Macałem palcami tapicerkę, zabębniłem palcami o szybę. Cały czas widziałem maskę samochodu, pobocze, kawałek asfaltu. Potem widok za szybą rozmazał się, chyba uderzyłem głową o kierownicę. Jeszcze usłyszałem łoskot obok. Zapewne przejechał TIR. Przemknął jak wielki cień i odsłonił dolinę. Zapamiętałem wyraźny obraz: skarpy porośnięte lasem, ścieżka wśród traw, dalej jasna przestrzeń, słońce, wydmy. Szum morza. Znalazłem się na plaży. Piasek pod stopami był gorący. Szedłem w stronę brzegu. Potem czułem, jak fale oblewają stopy. Widziałem nawet kamyczki turlające się po mokrym piasku, zagarnięte falą. Krzyczały mewy. Ktoś szedł obok - matka, ty lub Mirka. Tego nie wiem. Obraz zatarty.

*

Obudziło mnie stukanie. Światło latarki w oczy. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to policjant. Opuściłem szybę.

- Stoi pan bez świateł, za blisko osi jezdni - powiedział. Odczekał chwilę i zapytał: - Czy coś się stało?

- Nie. Chyba się zdrzemnąłem.

Wtedy poprosił o dokumenty. Przeglądał świecąc latarką - prawo jazdy, polisy ubezpieczeniowe. Widziałem, jak trzyma papiery na rozłożonej dłoni. Chciał jeszcze obejrzeć dowód osobisty. Dopiero wtedy zauważyłem światła radiowozu z tyłu. Ktoś stamtąd zawołał, zapewne kolega - policjant. Służbista oddał mi dokumenty.

- Niech pan stąd zaraz odjedzie - powiedział. Przyłożył dwa palce do czapki i odszedł.

Włączyłem zapłon, zapaliłem światła i powoli wyjechałem na drogę. Oni czekali, póki nie odjadę dalej. Później mnie wyprzedzili - jechali bardzo szybko. Mrugnęli światłami, abym zjechał na bok. Na dachu poloneza obracała się fioletowa lampa.

*

Jadąc dalej, przez opustoszałe, jak mi się zdawało, wsie i miasteczka - przez lasy i pola, aż do Płońska - zacząłem myśleć o koniecznych badaniach, które będę musiał przechodzić, o wizytach u lekarzy w przychodniach. O pobieraniu krwi, o poziomie cholesterolu, ilości czerwonych i białych krwinek. Poziomie cukru. O koniecznych elektrokardiogramach. I tak dalej, i tak dalej. Korowód myśli na temat stanu zdrowia. Dlaczego tak bardzo bolało? Może już jestem na wykończeniu? Może to zapowiedź zawału lub wylewu? Tak jak u Antoniego, przyjdzie nagle. Mój Boże, myślałem, czy nie grozi mi niedołążne dożywanie resztek dni?

Jechałem zapatrzoną w jasny pas asfaltu przed maską. Drzewa przydrożne w oparach mgły. Zmieniałem światła, gdy daleko, na prostych odcinkach błyskały światłami inne samochody. Monotonna jazda. Przyspieszyłem dopiero za Płońskiem.

*

O dwudziestej trzeciej zajechałem przed dom. Mieszkamy tu od trzech lat. Otworzyłem bramę i wprowadziłem fiestę do garażu. Wszedłem do sieni. Padał deszcz - torba i sweter były mokre.

Przeżyłem rozczarowanie (a może raczej odczułem pewną ulgę?): dom był pusty. Twoja matka wróciła dopiero po północy. Z okna łazienki na piętrze zobaczyłem dach taksówki za płotem. Zbiegłem na dół. Stałem za drzwiami. Na chwilę przygarnąłem Olgę, kiedy weszła do korytarza.

- Jesteś - powiedziała, całując mnie w policzek. I nic więcej.

Kiedy ogarnęła się, zaraz zaczęła nakrywać do stołu.

- Napijesz się wina? - spytała.

Siedzieliśmy przy kolacji długo. Olga opowiadała o spotkaniu z koleżankami, z którego wróciła. „Dziewczyny” mówiła o nich. Co pewien czas urządzają takie spotkania. Są bardzo żyte, mimo upływu lat. Studiowały razem w połowie ubiegłego wieku. Później razem pracowały. Znasz niektóre koleżanki matki, prawda? Mówią o tobie „Jacuś”, a o mnie „Józefski”. Tak, jak matka mówiła kiedyś o twoim ojcu. Żartobliwie, oczywiście, kiedy jeszcze byliśmy młodzi.

Teraz, po moim powrocie, piliśmy wino. Olga nakładała na talerze sałatkę, którą zrobiła naprędce: pomidory, papryka, seler. Liście sałaty. Była szynka, sery. Chleb

staropolski. Pasztet z budki na bazarku. Chrzan. Małosolne ogórki. Wszystko mi smakowało po tych postnych dniach na Mierzei. Byle jakiego jedzenia. Niedojadania. Bułek z serem.

Patrzyłem na matkę - wydała mi się blada i mizerna. Oczy miała podkrążone.

- Jak się czujesz? - spytałem.

- Ja? Dobrze. Dlaczego pytasz?

- Po prostu pytam - powiedziałem.

- A ty? - matka przyjrzała mi się uważnie. - Jak się czujesz?

Czy coś więcej miała na myśli? Nie tylko zdrowie? Czy chciała wiedzieć, jak się czuję po tej ucieczce z domu - dwutygodniowej nieobecności? Wyjeździe bez wyjaśnienia powodów? Milczeniu?

Być może właśnie w tym momencie mogłem jej wytłumaczyć wszystko. Opowiedzieć. Ale jeszcze nie potrafiłem - nie wiedziałem, jak zacząć. Od czego, od jakiej chwili? Powiedziałem tylko:

- Dobrze. Nic mi nie dolega.

Zaczęliśmy rozmawiać o twoich dzieciach. Matka opowiadała o waszej wizycie w ubiegłą niedzielę. Śmieliśmy się z Tomka, który zgubił bucik w lesie.

Kiedy późno w nocy otworzyłem okno w pokoju na poddaszu, powiało zapachem deszczu i sosen. Zamknąłem oczy i przez chwilę zdawało mi się, że jeszcze jestem tam, na Mierzei. Odetchnąłem głęboko. Chłód na twarzy. Wilgotne powietrze. Po szybach ciekły krople. Deszcz ciągle padał. Gdzieś niedaleko czekały psy. Jak Rambo i kundelek-inwalida.

*

Jeszcze jedno, Jacku, muszę wyjaśnić. Naprawdę wyjechałem dwudziestego drugiego października. Nie zaraz - nie po tamtej wizycie u Lachowiczów. Od stacji benzynowej cofnąłem się kilkadziesiąt metrów - pod dom konkubiny Zenka. Wjechałem na chodnik, wysiadłem, otworzyłem furtkę, potem - przez podwórze - poszedłem w stronę kamiennego progu. Tym razem nie stała tutaj. Drzwi z sieni do kuchni były uchylone. Gospodyni siedziała przy stole. Czarny sweter, czarna spódnica, siwe włosy. Laska wisiała na oparciu pustego krzesła. Na ceracie stały dwa talerze i dwie szklanki.

Spojrzała na mnie, gdy uchyliłem drzwi:

- Czekam, czekam. Do pieca dorzucałam kilka razy, aby woda była gorąca.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Przyszedłem się pożegnać.

- No, dobrze, dobrze. Jeszcze się pożegnamy. Teraz niech siada.

Tak jak wtedy, w czasie ostatniej wizyty, zdjąłem wiatrówkę i powiesiłem nad piecem. Siedząc przy stole przyglądałem się, jak nalewała do szklanek esencję z imbryczka i

wrzątek z czajnika. Postawiła szklanki na ceracie.

- Więc dlaczego wyjeżdża? Już wszystko wie?

- Straciłem nadzieję, proszę pani.

- Na co? Na spotkanie z tym pijakiem? On jeszcze wróci.

Znów w piecu buzował ogień, herbata była gorąca - przekładałem szklankę z ręki do ręki. Kot, jak wtedy, wskoczył mi na kolana - zamruczał.

Konkubina Zenka patrzyła na mnie uważnie, bez uśmiechu.

- Niech się nie krępuje, niech opowiada. Dlaczego stracił nadzieję?

Zacząłem mówić, że mam już siedemdziesiąt lat, że czuję się stary i zmęczony. Straciłem nadzieję w ogóle. Niczego już nie spodziewam się w życiu, niczego nie oczekuję. Tu chciałem tylko porozmawiać z Mirką, ale ona umarła.

- To wszystko - mówiłem. - Nie mam ochoty dłużej żyć, proszę pani. Nie mam ochoty nawet wracać do własnego domu.

- Jeżeli nie ma dokąd wracać, niech zostanie - powiedziała, gdy zamilkłem.

Wtedy wyjaśniłem, że nie mogę wrócić do Ośrodka Wczasów Pracowniczych.

- Zapłaciłem za pobyt. Nie chcę tam wracać.

- To niech u mnie zamieszka. Pokoje wolne, na górze, na dole. Jest dużo miejsca.

Zawahałem się: to prawda, właściwie mogłem u niej zostać. Dokąd się śpieszę? Do jakiego życia? Do jakich nowych zmartwień? Zamilkłem. Gładziłem ciepły grzbiet kota. Buzował ogień pod kuchnią. Głośno tykał zegar.

- Latem wynajmuję pokoje - mówiła. - Co roku mam tych samych gości. Ale teraz pusto. Napali w piecu, odpocznie. O jedzenie niech się nie martwi. Emeryt?

- Emeryt. Oczywiście - uśmiechnąłem się. Dopilem herbatę. - Co będzie, jak pan Zenek wróci? Nie chciałbym zająć jego pokoju. Tego, w którym mieszka.

Machnęła ręką.

- Jak przychodzi, to śpi w kuchni. O tam, w kącie. Ale czy w ogóle wróci? Duchy milczą.

Wtedy zdecydowałem: zostaję. Poszedłem zaraz po samochód. Wjechałem na podwórze. Postawiłem fiestę za domem. „Zostanę na tydzień, może na dłużej? - myślałem. - Niechby nawet na dziesięć dni! Wieczorem zadzwonię do Olgi”.

Po godzinie, po skrzypiących schodach, wchodziłem na poddasze. Do pokoju, który wcześniej wybrałem. Postawiłem torbę przy łóżku przykrytym zieloną kapą. W pokoju pachniało jabłkami. Leżały na parapecie, na szafie, na podłodze. Wszędzie jabłka. Jabłka. Otworzyłem okno i patrzyłem chwilę na łąki i na daleki pas trzciny za łąkami. Dalej był zalew,

a za nim ciemny drugi brzeg. Powiało chłodnym powietrzem.

Blisko domu rosły owocowe drzewa. Kilka kur grzebało w liściach pod jabłnkami. Zamknąłem okno. Pomyślałem, że przyniosę polana z kuchni, żeby napalić w piecu. Stał w kącie pokoju - wielki, z białych kafli pod sufit. Na kawałku blachy, pod drzwiczkami popielnika, leżał pogrzebacz.

*

Dopisek u dołu strony: Następnego dnia, w niedzielę rano, podziękowałem za nocleg. Zostawiłem na stole dwadzieścia złotych, chociaż gospodyni nie chciała przyjąć. Wypiłem kubek zbożowej kawy. Torbę zaniósłem do samochodu. Potem ostrożnie przez otwarte wrota wyjechałem na ruchliwą drogę. Widziałem, jak zamykała za mną skrzydła bramy. Zapamiętałem tę kobietę w drzwiach domu. Kot wyglądał spod czarnej spódnicy. Zapewne mrużył żółte oczy. Konkubina Zenka Lachowicza pomachała laską na pożegnanie.

Dopiero wtedy wyruszyłem w drogę powrotną. Przez lasy na Mierzei. Przez Nowy Dwór, Elbląg, Pasłęk, Rypin. W lesie zostawiłem fiestę na poboczu. Przeżyłem tamten ból. Policjant zastukał w szybę.

O dwudziestej trzeciej wróciłem do twojej matki. To wszystko.

I jeszcze data: listopad-grudzień 2003.

*

Przeczytałem spowiedź ojca w nocy. Odszedł niedawno. Matka jeszcze żyje - jest coraz słabsza. Czy to Pan Bóg przesądza, czy sam człowiek: jak życie się toczy? Powtarzam słowa konkubiny Zenka Lachowicza. A co z nim - menelem w czerwonej czapce? Co z „Anielą od Aniołów”? Pewno także odeszli. Czy Joanna dalej mieszka na Mierzei? Gdzie jest Kasia? Dziadka Romana pewno już nie ma.

Nim zgasilem lampę przy łóżku, patrzyłem na jasny krąg - odbicie światła nad głową. Ciemniejsze koło na suficie to był abażur. Przypomniałem sobie zdjęcie ojca i moje na ławce. Niewiele lat upłynęło od epizodu z Czarną Jagodą - Mirosławą z Mierzei w roli głównej. Poszliśmy do parku przy Żwirki i Wigury - ojciec i ja. Miałem wtedy cztery lata lub trzy i pół. Właściwie pojechałem na trzykołowym rowerku. Ktoś nam zrobił zdjęcie aparatem ojca - lustrzanką. Zapewne przypadkowy spacerowicz, bo matki z nami nie było na pewno. Siedzimy obok siebie - tata trzyma rękę na moim ramieniu, drugą położył na oparciu ławki. U dołu fotografii widać kierownicę roweru - dzwonek i wiatraczek.

Obaj uśmiechamy się. Za nami krzewy jaśminów. Ale nie kwitną - już jesień, ojciec w płaszczu z podniesionym kołnierzem. Ja mam na głowie beret z białej włóczki, zrobiony na szydełku przez babcię Jadwigę.

Ojciec taki młody jeszcze - wydaje się zadowolony z życia, ze swego losu. A przede mną - wtedy czteroletnim - ile jeszcze lat?

2005-2008